



# PiszMy

ś w i a t y | a n t o l o g i a





## **Światy** **Antologia PiszMy**

Wydawca | Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

© Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

ISBN: 978-83-89285-23-2

Koordynator projektu | Jan Piasecki-Hlousek

Redakcja | Daniel Odija

Adiustacja językowa | Stanisław Danecki

Projekt graficzny i skład | Alicja Westrych

Gdańsk 2019



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA  
BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
IM. JOSEPHA CONRADA  
KORZENIOWSKIEGO  
W GDAŃSKU



INSTYTUCJA KULTURY  
SAMORZĄDU  
WOJEWÓDZTWA  
POMORSKIEGO



*Chodź,*  
**doBiblioteki!**



# PiszMy

ś w i a t y | a n t o l o g i a



# WSTĘP DO ANTOLOGII

To już trzecia edycja warsztatów literackich PiszMy. Uważam ten projekt za wyjątkowy na skalę całego kraju. Przecież „wybrańcy” wzięli udział w cyklicznych zajęciach, które w sumie trwały około 40 godzin! Znacie drugą taką bibliotekę, która ma tak obszerłą ofertę warsztatów literackich, redakcyjnych, wydawniczych?

Ze swojej strony miałem przyjemność prowadzić aż pięć pięciogodzinnych spotkań, skupionych na praktycznym pisaniu. Poznałem ludzi o wyjątkowych osobowościach, rozkochanych w literaturze. Próbowałem podzielić się z nimi swoimi pisarskimi „patentami”, pomysłami, rozwiązaniami fabularnymi i formalnymi.

Zajęcia odbywały się w niezwykłym miejscu jakim jest Biblioteka pod Żółwiem. W kilkunastoosobowej grupie wykonywaliśmy ćwiczenia, które miały poprawić jakość naszego pisania, wykrystalizować sposób zapisu, uwrażliwić na obserwację otoczenia i samego siebie, co jest przecież głównym źródłem literackich tematów. Ćwiczenia te miały też zainspirować do wymyślenia większego cyklu – tomiku opowiadań albo zarysu powieści. Przede wszystkim jednak wzajemnie motywowaliśmy się do systematycznej pracy.

Pisanie to pasja samotnika. Zamiast z ludźmi pisarz najczęściej rozmawia z tworam i własnej wyobraźni. Dlatego tym bardziej należy cenić takie spotkania, podczas których można porozmawiać o pisaniu. No, ale z rozmów niewiele wynika, jeśli nie zapisze się ich efektów. A efektem naszych warsztatów jest niniejsza antologia opowiadań.

Teksty zostały wybrane spośród wielu innych, jakie powstały podczas zajęć. Zdecydowaliśmy się nadać całości tytuł *Światy*. Wydaje się na tyle pojemny, by nie ograniczał swobody twórczej, przeciwnie – prowokował wyobraźnię, jednocześnie skłaniając do refleksji, zawierającej się w pytaniach: Czy nie jest tak, że każdy z nas to świat, któremu warto się przyjrzeć? I czy nie jest tak, że otaczają nas różne światy, nawet jeśli to zaledwie ulica za załomem, a może inne miasto, kraj, kontynent? Wreszcie ile jest przestrzeni przez nas wymyślonych, wymarzonych, czy znanych tylko z relacji innych?



O tym jak każdy z nas inaczej postrzega świat, odczuwa go, opowiada o nim, wreszcie, jak go zapisuje, można przekonać się podczas lektury tej antologii.

Zapraszam do czytania!

Daniel Odija



Agnieszka Cińcio-Pętlicka

# PIES NIE WEŹMIE

Bryła budynku wydaje się okazała. Ma kształt litery „U”, lądowisko dla helikopterów na dachu, pięć pięter wypełnionych łózkami, salami i blokami operacyjnymi. Wokół duży teren rekreacyjny, w głębi – podjazd dla karetek, wprost na izbę przyjęć. Dziesięć lat później będzie już wiedziała, że takich budynków nastawiano za komuny wiele, jak Polska długa i szeroka. Nie miały być ładne. Miały być funkcjonalne. Takie socjalistyczne makdonaldy w służbie zdrowia – gdzie nie spojrzysz, wszędzie jednakowo. Tymczasem jednak tego nie wie.

Tymczasem biegnie ze szkoły, z okolic portu. Przekracza jeden most na rzece, mijają stadion i liceum. Jeszcze nie wie, że to jej przyszłość. Mokry sen wszystkich lokalnych kujonów, przepustka do dobrych studiów, wielkiego miasta i oszałamiającej kariery.

Dzisiaj to tylko czerwony moloch z zabawną wieżą (rok później z broszurki informacyjnej dowie się, że to obserwatorium astronomiczne). Drugi most, na kanale. Przejście dla pieszych. Pokonuje irracjonalną liczbę schodów (żeby chorować, trzeba mieć zdrowie), fotokomórka pika i wielkie drzwi rozsuwają się z cichym pomrukiem.

Główny hol niewiele się zmienił przez te wszystkie lata; nadal jest ciemny i przygnębiający, pomimo dużych okien i niedorzecznie nowoczesnych drzwi. Pięć punktów odniesienia. Najbliżej, po lewej, ma aptekę, pewnie najdroższą w mieście. Nieco dalej szatnię. Na wprost wejście na oddziały i izbę przyjęć. Najbardziej po prawej kwiaciarnię. Na pierwszej schody. Te schody kojarzy z dzieciństwa. Mijała je, kiedy wychodziła stąd lata temu, jako niespełna czteroletnie dziecko. Mama zniosła ją tam pewnej zimnej nocy. Niewiele z tego zapamiętała. Tylko tyle, że mama miała ją na rękach i biegła, a rozświetlone kuchenne okno tak śmiesznie podskakiwało jej w oczach i z każdym krokiem mamy malało, aż zupełnie przestała je widzieć. Potem swój krzyk, kiedy olbrzymia pielęgniarka próbowała znaleźć żyłę na wierzchu jej dłoni. Mamy nie było. Mama została za drzwiami.

Później mama tłumaczyła jej, że wcale nie chciała, ale pan doktor powiedział, że w innym wypadku w jej płucach zrobiłyby się dziurki. Dlatego musiała zostać. Nie było najgorzej – pamiętała jeszcze nieme pianino w świetlicy, na którym grała, dopóki pielęgniarki nie zauważyły, że nie ma jej w łóżku.

Dzisiaj idzie w stronę schodów. Szare lastryko przetarło się w miejscach, gdzie najczęściej korzystali z nich ludzie. Pierwsze piętro to poradnie. Pusto tu w piątkowe popołudnie – czerwone, składane krzeselka wyglądają jak groteskowa sala kinowa przed seansem. Skręca w prawo, w korytarz. Wszystko, zarówno ściany, jak i linoleum, są w bliżej nieokreślonym kolorze, gdzieś między vangoghowską żółcią a soczystą brzoskwinią. Koniec remontu poradni wraz z przyległościami uroczyście odtrąbiono w lokalnej telewizji dwa lata wcześniej.

Zakład rehabilitacji jest całkiem spory; zajmuje całe skrzydło na pierwszym piętrze. Panuje tu wyższa temperatura, niż w innych częściach szpitala, pachnie chlorem, środkiem do dezynfekcji i potem. Dziwna mieszanka. Zatrzymuje się na chwilę, otwiera plecak. Z zeszytu od polskiego wyciąga pomiętą kartę zabiegową. Sprawa nieco się przeciągnęła, bo w napięty grafik wszystkich pozalekcyjnych aktywności ciężko było wepchnąć jeszcze zajęcia w szpitalu. Ostatni dzień. Niemal wszystkie kolumny wypełnione są nieczytelnymi parafkami uprzejmych fizjoterapeutek. Pracuje tu nawet kobieta, którą mama poznała na ginekologii. Urodziła syna kilka dni wcześniej. Kumplują się do dzisiaj, i oni, i ich mamy.

Najpierw wirówka. Ma szczęście – wanna z wbudowanym hydromasażem jest wolna. W innym wypadku rehabilitantka polewałaby ją wodą z gumowego węża. Wodą pod takim ciśnieniem, że gdyby nie pełne zanurzenie, skończyłoby się oskórowaniem łopatek. Potem tens. Magnetron. Laser.

I ćwiczenia.

Od wejścia czuje, że coś nie gra. Nie ma nikogo, chociaż zazwyczaj po sali kręci się kilka osób w różnym wieku. Sala nie jest duża; tak na oko niecałe trzydzieści metrów kwadratowych ze wszystkim.

– Dzień dobry? – mówi i kładzie kartę na biurku po prawej, jak zwykle, po czym znika za kolejnymi drzwiami. Przebiera się w ciemnym korytarzyku. Drzwi w głębi, za którymi znajdują się cztery łóżka poprzedzielane parawanami i maszyna do podgrzewania mieszanki parafinowo-borowinowej, są zamknięte na głucho.

Wraca do sali. Nadal nikogo. Nie czuje się dobrze, nerwowo wyłamuje kostki.

– Dzień dobry. – Mężczyzna. Nie więcej niż czterdzieści pięć lat. Wysoki, ale nie jakoś wybitnie zbudowany. Głęboko wycięte, łysiejące czoło. Wąs. – Zajęcia skończyły się pół godziny temu.

– Na karcie mam napisane, że mam tu być o wpół do czwartej – odzywa się. – Wie pan, ja tu jestem tylko dwa razy w tygodniu, chodziłam z różnymi grupami... A-ale skoro zajęcia się już odbyły, to trudno. To i tak ostatni raz, mogę się przebrać i za chwilę mnie tu nie ma.

„Nie chcę tu być”, myśli sobie, „nie z nim”.

– Nie. Wszystkie zabiegi muszą być odbyte, żeby to miało jakiś sens – odpowiada, a jej wydaje się, że ta odpowiedź jest nie-

co zbyt szybka. – Skoro to twoja ostatnia wizyta tutaj, pokażesz, czego się nauczyłaś. Rozgrzej się, proszę. I zaczynamy.

Krążenia ramion, bioder, trzy pajacyki. „Bardzo nie chcę tu być”, myśli. Wzdłuż kręgosłupa pełnie jej obrzydliwe stworzonko i wczepia się w kark. Niepokój. Coś jest nie tak.

– Przy twoim schorzeniu ważne są ćwiczenia stabilizujące. Masz tu piłkę, połóż się na brzuchu, ręce przed siebie, dociskaj piłkę. Oddychaj. Raz, dwa, trzy...

Krzątanina na korytarzu cichnie. Zbliża się czwarta i zakład rehabilitacji pustoszeje. Mężczyzna znika na chwilę. Uspokaja samą siebie. Są w szpitalu. Tu zawsze ktoś się kręci. Nawet po godzinach.

– Przejdź do kłędu podpartego. Kocie grzbiety – mówi, kiedy pojawia się ponownie. Cały spokój szlag trafił.

Jeden koci grzbiet. Drugi. Fizjoterapeuta obchodzi ją dookoła. Robi się jeszcze dziwniej. Czuje na sobie jego wzrok i to uczucie wcale się jej nie podoba. Ma piętnaście lat, nigdy nic z żadnym chłopakiem, ale wie, że temu spojrzeniu daleko do profesjonalizmu.

– Robisz to źle.

Chyba to mówi, kiedy przyklęka przy niej. Dodaje coś jeszcze, ale potem już nie będzie umiała sobie tego przypomnieć.

Blisko. Za blisko.

Ma duże dłonie. Zapamięta, że prawa sunęła wzdłuż kręgosłupa, zatrzymała się na chwilę przy szczycie skoliozy, tam gdzie

kręgosłup wciął się w żebra i wypchnął je do góry, zanim powoli przemieściła się niżej. Ale to szczegół, nic nieznaczący. Bo lewą trzyma między jej piersiami.

Tężeje. Wyobraża sobie, że każdym porem jej skóry wylażą igły, że staje w płomieniach albo ma zdolność generowania prądu. Wszystkie zakończenia nerwów wychwytyją jego dotyk; to, że przyciska do siebie jej lewy bok, że między łopatkami czuje ciepło jego torsu w białym fartuchu – a potem wysyłają impulsy do mózgu, w którym każda przeciągająca się w nieskończoność sekunda wypala się w jej pamięci jak rozżarzoną żelazem.

– I do góry. Jak kot.

Wykonuje polecenie, mechanicznie. Przez chwilę wydaje jej się, że patrzy na to wszystko z boku, że to się nie dzieje naprawdę. Chce mu dać w twarz, ale nie może, bo przecież nie poderwie się z cholernego podparcia.

Panika. Dygocze w środku. Rzuca okiem na zegarek. Dziesięć minut do końca. Dziesięć minut, a jej wydaje się, że czeka na następne życie. Modli się. Gdzieś z tyłu głowy. Niech ktoś wejdzie. Niech on mnie puści. Chcę do domu.

Echem odbija się jej od czaszki jeszcze jedna myśl. Zasłyszana dawno temu, mądrość poprzednich kobiet: przecież jak suka nie da, to pies nie weźmie.

Ale ona nie dała, chce powiedzieć.

Sam wziął.



Kątem oka widzi zasnutę gęstymi chmurami październikowe niebo. Ostre światło jarzeniówek nad głową. Na niego nie patrzy. Wystarczy, że czuje, iż lewa dłoń przesunęła się w prawo. Fiszbina wbija się jej w pierś pod naporem jego kciuka. Ma na sobie stanik, który kupiły z mamą dwa tygodnie wcześniej. Pierwszy taki dorosły, z maleńkim push-upem. Cieszyła się z niego strasznie.

Zamyka oczy. Nie będzie tu płakać, tego nie dostanie. Bierze głęboki wdech. Chyba zapomniała, jak się oddycha. Pięć minut.

Jego lewa ręka zmienia położenie. Jest teraz wyżej, koniuszki jego palców czuje na prawym obojczyku. Przedramieniem dociska lewą pierś. Wstyd jej tego push-upa. Na pewno czuje tę cholerną gąbkę. Jeszcze o tym nie wie, ale dziesięć lat później nadal instynktownie unikać będzie tego typu miseczki.

Dociska ją do siebie.

– No, wystarczy. Zmykaj się przebierać.

Nigdy wcześniej i nigdy później nie zdejmie dresu w takim tempie, oglądając się przez ramię. Zarzuca plecak, pośpiesznie chwytając kartę z biurka i wychodzi.

Korytarz. Drzwi. Korytarz. Drzwi.

Schody.

Fotokomórka.

W twarz uderza ją podmuch wiatru. Jak na autopilocie, idzie do domu. Bardzo stara się nie biec. Bardzo stara się nie wymiotować przez barierkę pierwszego i drugiego mostu. Wpada do domu. W przedpokoju spogląda na siebie w lustrze.

– On mnie dotknął – mówi do siebie.

Słowo przeciwko słowu.

Gorący prysznic, taki na granicy poparzenia.

Nadal jest brudna.



Anna Kaczor

# DWIE ŚLIWKI I JABŁKO

Biszkopt słońca rozpuszczał się powoli w letnim, rozgrzanym do czerwoności niebie. Zacierał się już brzeg okręgu, jaki tworzył. Nie tylko dzień się kończył. Znow obgryzła paznokcie do krwi. Cienką strużką ciekła między palcami. Spływała na telefon. Nina drżącym kciukiem wybrała ponownie „Marek”. Po raz dwudziesty trzeci nie odebrał. Nie odpisywał też na smsy. Ani na te, które zawierały groźby rozstania, ani na błagalne. Te zapewniające o jej uczuciach również pozostawały bez echa. Za nim wyszedł z domu, Nina poprosiła:

- Tylko nie rób nic głupiego. Nie dziś.
- No co ty, Mała. Idę tylko do sklepu. Zaraz wracam i świętujemy – odparł, głaszcząc ją po głowie.

31 sierpnia 2011. Wieczór. Rozpalone kamienie Starego Miasta tworzą bezpieczną enklawę dla Niny i jej znajomych. Siedzą na krawężniku obok knajpki zlokalizowanej przy obszernym placu. Piją piwo za piwem, wzrok zaczepiając o wieże wystające ponad linię zabudowań. Dopiero co obronili prace licencjackie. Przyszłość jawi im się jasna i czysta. Z każdą kolejną dawką alkoholu mają coraz więcej planów na dorosłe życie.

W ekipie zjawia się nowy chłopak. Znajomy znajomej. Przedstawia się. Zamawia piwo. Rozmawiają. Jest jakiś inny. Intrygująco błyskotliwy i uroczo nieśmiały. Często znika i wraca po chwili z nową butelką. Nikogo to nie dziwi. Wszyscy śmieją się głośno i dobrze się bawią.

Markowi język płacze się bardziej niż pozostałym. Prawie bełkocze, mówiąc, że ma jakąś sprawę na mieście. Ma wrócić za pół godziny. Szybko oddala się w kierunku głównej arterii miasta, ciągnąc ze sobą spojrzenie Niny. Później dziewczyna jeszcze kilkakrotnie zerka na bramę, w której zniknął. Nikt poza nią nawet nie zauważa, że tego wieczoru już do nich nie wrócił.

Od rana czuł znajome napięcie w mięśniach i nieprzyjemne mrowienie rozchodzące się po ciele. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Był sobotni piękny poranek. Nina jeszcze spała. Ból głowy podpowiadał mu, że wczoraj znów przegiął na imprezie. Próbował sobie co nieco przypomnieć, ale garstka wspomnień ulotniła się

jak para z czajnika gotującej się wody, którą zalał właśnie czarne grudki kawy.

– Jeśli nie piwo, to to powinno pomóc – pomyślał.

Porządny zastrzyk kofeiny był jak narkotyk. Napój, który co rano rytualnie przygotowywał, był czarny, nieprzezroczysty, miał smolistą konsystencję. Wchłaniał go w siebie solidnymi łykami, aby rozjaśnić myśli. Tym razem nie pomagało. Marzył o dobrze schłodzonym piwie. Najlepiej dwóch.

– No i wtedy dzień wskoczyłby na odpowiednie tory – pomyślał. – Tylko Nina jak zwykle będzie marudzić. Wygadywać te swoje teorie o nałogach i terapiach. W ogóle nic nie kuma – pomyślał zirytowany.

Jak co dzień przesunął okienko w kalendarzu, aktualizując datę. Zauważył, że ta dzisiejsza została niezdarnie zakreślona ołówkiem.

– Co to? Dziś? – zaniepokoił się Marek. – Aaa, no tak... – zamyslił się. – Ile to już będzie? Tyle lat, a my nadal na wynajmowanym, wiecznie bez kasy. Ech, gdyby tylko wiedziała, już dawno by odeszła – zasępił się.

Wziął kolejny łyk, czując jak powoli gęsta ciecz zalepia mu przełyk. Kawa była dokładnie taka, na jaką wyglądała. Nie-smaczna. Na szczęście widać już było fusy, więc proces trzeźwienia za chwilę miał się zakończyć.

Z sąsiedniego pokoju doszedł go dźwięk skrzypiącego parkietu.

– Oho. Nina się obudziła. – przestraszył się. – Ciekawe, czy znów coś odwaliłem wczoraj.

Coraz wyraźniej słyszał zbliżające się do kuchni kroki.

– Dzień dobry, kochanie – powiedział, gdy weszła do środka. – Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy! – dodał szybko, po czym zbliżył się, żeby dać jej buziaka w policzek, ale zrobiła unik.

– Dziękuję i wzajemnie – odpowiedziała z wyczuwalnym dystansem. – A ty, jak się dziś czujesz? – zmieniła temat. – Wczoraj nie wyglądałeś najlepiej. Znowu przesadziłeś. Marek, ty masz problem i dobrze o tym wiesz – dodała zmartwiona.

– Ja? Ja się bardzo dobrze czuję – odpowiedział z uśmiechem. – Byłem po prostu bardzo zmęczony. Wiesz, że kończymy tę aplikację dla Niemców. Strasznie są upierdliwi. Ciągłe jakieś poprawki. Ciągłe jakieś bugi wywala – ciągnął chłopak.

– Ahaaa... zmęczony – bez przekonania powtórzyła Nina.

Po chwili ciszy Marek zapytał:

– A co chcesz dziś robić? Masz jakieś specjalne życzenia?

– Nie wiem. Chyba nie – skłamała, przepatrując w głowie pomysły, których w żadną dotychczasową rocznicę nie udało im się zrealizować.

– No to spędzimy miły wieczór w domu. Kameralnie. Tak jak lubisz. Ja się wszystkim zajmę – zadeklarował. – Zgadzasz się? – Pocałował ją w czoło.

– Zgadzam – odpowiedziała dziewczyna, nie okazując, jak bardzo nie może się tego doczekać.

Marek wyszedł z mieszkania. Czuł jakąś dziwną energię, której w żaden sposób nie mógł rozładować. Nie wiedział, skąd pochodziła. Być może to ekscytacja kolejną rocznicą ich związku. W każdym razie był podniecony, jak gdyby to, na co czekał bardzo długo, dziś miało się wreszcie wydarzyć. Zbliżał się wieczór. Marek miał spędzić go z Niną, ale celowo wyszedł z domu, żeby ochłonać. Głowa ciążyła mu jeszcze po wczorajszym. Mijając ulubiony klub, nie mógł przejść obojętnie.

– Tylko jedno i wracam – pomyślał.

Wszedł do środka, już od pierwszego oddechu poczuł się lepiej. Usiadł przy barze, zamówił piwo. Zaczerpnął łyk i poczuł ciepło rozchodzące się po ciele. Napój docierał do krwi i rozrzedzał ją, sprawiając, że napięcie powoli odpuszczało. Ciało i umysł zrzucały ciężar. Coraz wyraźniej słyszał w głowie hasło: „Odegrać się”. Tak, to o to cały czas chodziło. Teraz miał jasność. W portfelu znalazł stówę. Chwilę później ścisnął już garść żetonów. Nic więcej z tego wieczoru nie udało mu się przywołać we wspomnieniach.

Dwukrotne wibrowanie telefonu zasygnalizowało nadejście wiadomości. Nina błyskawicznie sięgnęła po komórkę z nadzieją, że to sms od Marka. To był on. Poczowała, jak wielka gula w jej gardle przesuwa się powoli w dół, aż do stóp i odpuszcza, przynosząc rozprężenie każdego mięśnia.

– Nina, nie chcę cię już ranić. Muszę to zakończyć. Zaslugujesz na kogoś, kto nie będzie cię krzywdził – przeczytała na głos.



W jednej chwili zrobiło się jej gorąco, a równocześnie dreszcz przebiegł po jej ciele. Złość na chłopaka powoli ustępowała, aby przygotować miejsce na współczucie i troskę.

Bez zastanowienia zadzwoniła do niego, ale tak jak przewidywała, nie odebrał. Po kilkudziesięciu próbach i kilkunastu smsach postanowiła działać. Znała ten scenariusz na pamięć, chociaż nadal nie umiała sobie z nim radzić. Zazwyczaj padało bardzo dużo słów, które nie pociągały za sobą odpowiadających im zdarzeń. Dziś jednak przeczuwała, że może stać się coś złego. Pospiesznie założyła buty i kurtkę. Zbiegła ze schodów i po chwili znalazła się na zewnątrz. Spoliczkował ją chłód prawie jesiennej wieczoru. Poczula znany zapach strachu. W powietrzu unosiła się jeszcze słodkość odchodzącego lata. Żegnało się długo i nie mogło na dobre rozstać się z tym miastem. Wiedziała, dokąd pójść. Doskonale pamiętała, jak kiedyś, w czasie którejś z rozmów, wyznał, że gdyby miał to zrobić, skoczyłby pod pociąg. Szybka i bezbolesna śmierć. Niemal stuprocentowa skuteczność. Czula, że to go kręci. Najbardziej chyba symbolika podróży. Ale tego mogła się tylko domyślać.

Mieszkanie, które wynajmowali znajdowało się nieopodal dużej stacji kolejowej. Teraz, kiedy stała na chodniku przed blokiem, do jej uszu co chwilę docierały dźwięki przejeżdżających pociągów. Ruszyła z miejsca. W myślach modliła się, żeby zdążyć.

– A co jeśli... – zadrżała.

Ta myśl przyspieszyła jej kroki. Nina biegła, po raz kolejny próbując skontaktować się z Markiem. Chciała wybić mu z głowy ten głupi pomysł – pomysł, który sama nieraz rozważała bardzo poważnie, wizualizując sobie jego finał.

– Nie jest na tyle durny, żeby to zrobić – uspokajała się.

Nie była jednak przekonana, że nie posunie się tak daleko. Być może, tym razem coś pękło, coś się przełamało, przechyliło szalę na stronę przeciwną życiu. Biegła. Do pokonania miała około pięciuset metrów nierównego chodnika. Potem musiała tylko zbiec ze schodów, pokonać kolejne i sprawdzić dokładnie każdy z kilku peronów. Potykała się i raniła palce u stóp, przemierzając kolejne metry. Chciała tylko znów go uratować, a potem posklejać z kawałków jak model samolotu, na koniec zaś wygładzić wszystkie nierówności. Później już tylko żyć tak, jak zaplanowała.

Pędziła z peronu na peron, ściągając na siebie spojrzenia podróżnych. Zaczepiała ludzi, pytając, czy nie widzieli trzydziestoletniego szczupłego bruneta w czerwonym t-shircie. Wszyscy przecząco kiwali głowami.

– Marek, do cholery, gdzie jesteś? Dlaczego znów mi to robisz? Dlaczego? – krzyknęła i wybuchła histerycznym płaczem. Nie poddawała się jednak. „Wiem, gdzie może być”, pomyślała.

Pomiędzy ich domem a dworcem były dwa miejsca, w których Marek bywał. Jedno z nich, o tajemniczej nazwie „777”, w wyobraźni Niny było obrzydliwą, obskurną piwnicą pełną mężczyzn

pragnących za pomocą jednego żetonu pozbyć się wstydu, lęku i kompleksów. W rzeczywistości sprzedawali tam swoje życie.

„Nie wierzę, że tu jestem”, pomyślała, pchając drzwi wiodące w piwniczną otchłań. Bardzo się bała. Tego, że za chwilę wszyscy będą na nią patrzeć. Najbardziej jednak nie chciała spotkać tam Marka, wrzucającego do brzucha maszyny całą wczorajszą wypłatę.

Bezszelестnie zeszła po schodach i ujrzała dokładnie to, czego się spodziewała. Po obu stronach sali rzędy głów. Oczy skupione na przewijających się infantylnych obrazkach, zupełnie nieadekwatnych do powagi sytuacji. Uszy wrażliwe na dźwięki wygranej. Dla Niny był to najsmutniejszy spektakl, jakiego do tej pory doświadczyła. Pośród klientów salonu bez trudu dostrzegła Marka. Otwartą dłońią uderzał we front maszyny, wydając jakieś okrzyki. Już nic nie słyszała. Na ekranie jego gry ujrzała śliwkę, śliwkę i jabłko.

– Marek – zawołała.

Odwrócił się. Był kompletnie pijany. Jego oczy połyskiwały agresją.

– Mała, co ty tu robisz? – zapytał oburzony. – Kto pozwolił ci tu przyjść?

– A co ty tu robisz? Chyba mieliśmy wspólne plany – zapytała z wyrzutem. – Obiecałeś, że koniec z tym.

– Mam gdzieś twoje plany. Ciągle tylko mnie prowokujesz. To wszystko przez ciebie. Zobacz, do jakiego stanu mnie doprowadzasz! – krzyczał.

– Jesteś nienormalny. Znów nie dotrzymałeś słowa – mówiła przez łzy. – Dłużej tego nie wytrzymam.

– To idź w cholerę – odburknął i pchnął dziewczynę w kierunku drzwi.

Dzień jak zwykle zaczął się bezdechem. Nina wyrwała się ze snu, zachłannie wciągając powietrze do płuc, jakby dopiero co wynurzyła się z wody po długim nurkowaniu.

– To tylko zły sen – szepnęła z nadzieją. Mrowienie i napięcie mięśni świadczyły jednak o czymś innym. Dopadło ją to uczucie, kiedy ciało mówi coś, czego zaspany umysł jeszcze nie wie albo nie pamięta.

Odwróciła głowę w kierunku męskiego ciała, leżącego na podłodze. Marek jeszcze spał. W pokoju unosił się odór wypitego wczoraj alkoholu.

– Rzygać mi się chce – pomyślała Nina. Nie tyle z powodu smrodu, ile za sprawą wspomnienia tego, co robiła w nocy. Pamiętała, że krzyczała. Bardzo dużo i bardzo głośno. Kopała, machała rękami i biła. Wyrównywała rachunki.

Po lawinowym spadku energii teraz czuła, że rośnie w siłę. Była gotowa, żeby wziąć sprawy w swoje ręce. Wysunęła się spod kołdry i powoli przeczłogała do Marka. Okryła się jego kocem i mimo że jej ciało protestowało, przyłgnęła do jego pleców. Wiedziała, że niechęć i obrzydzenie zaraz miną. Zawsze mijały.

– Kochanie – wyszeptała – poradzimy sobie jakoś. Ja pomogę.  
Wiesz, to tylko kilka tysięcy. Nie martw się tym – recytowała,  
głaszcząc go po dłoni.



Dominik Kasicki

# ROCZNICA

Wino wysunęło się jej z siatki, w chwili gdy przekręcała klucz w drzwiach. Zdążyła podstawić stopę, aby zamortyzować upadek, ale nie uchroniła butelki przed rozbiciem. Szkło rozprysło się przed wejściem do mieszkania. Ciemnoczerwony napój zachlapał podłogę, drzwi, ściany oraz jej buty i kremową, ołówkową spódnicę. Jęknęła ze złości i zmęczenia. Umówiła się z Pawłem, że tego dnia wróci wcześniej, ale spotkanie z zarządem przeciągnęło się do późnego wieczora. Tak było za każdym razem. Przed kolejnymi zebraniem liczyła, że przedstawi wyniki swojej pracy, opowie o planach na następne tygodnie i zamknie prezentację w dwie godziny. Często jednak trwały trzy razy dłużej, a ona nie miała odwagi powiedzieć, że jej czas pracy już dawno minął. Tym bardziej teraz, gdy kończyła ważny projekt i po cichu liczyła na awans.

Weszła do mieszkania, chwyciła mopa i zmiotkę z szufelką, stojące w schowku przy drzwiach. Szybкими ruchami wytarła plamę z podłogi i pozamiatała kawałki szkła. Czyszczenie ściany zostawiła pani sprzątajacej, który miała przyjść nazajutrz. Gdy przechodziła do kuchni, żeby wyrzucić śmieci, spojrzała na stół, na którym stały przygotowane talerze, kieliszki, sztucce i drewniana podkładka na gorące naczynie. Zaciekawila ją zapalona lampka w piekarniku. Otworzyła drzwiczki i zobaczyła żaroodporną miskę z zimną zapiekanką. Musiała tu czekać od kilku godzin. Poczula przyjemny zapach pieczonego sera, mięsa i ziemniaków. W brzuchu zaburczało. Nie jadła nic od południa. Spojrzała na zegarek, było po dwudziestej trzeciej. Na stole stał również wazon z jedenastoma czerwonymi różami. Po jednej za każdy rok. I butelka z winem. Takim samym, jak to, które przed chwilą stłukła.

Poszła do łazienki, aby obmyć twarz i zmienić zabrudzony służbowy strój na wygodną, satynową bluzkę i krótkie spodni. Wanna była wypełniona wodą. Na brzegu stały wypalone świecezki. „Jak romantycznie. Nawet zmienił ręczniki, a przecież dopiero środa”, powiedziała do siebie w myślach. Na palcach przeszła do sypialni. Paweł spał w ubraniu i chrapał. Koszula wysunęła mu się ze spodni i odsłoniła spory brzuch, który teraz miarowo unosił się i opadał. Zbliżyła się do łóżka i przyłożyła głowę do jego piersi. Słyszała bicie serca. Pogłaskała po siwych już włosach. Z reguły pomagało to powstrzymać chrapanie part-



nera, ale tym razem tylko je pogłębiło. Paweł zaczął przebierać nogami, jakby przed czymś uciekał we śnie. Położyła rękę na jego kolanie i przesunęła w górę uda. Zatrzymała dłoń i uniosła ją nad rozporkiem. Po chwili rozpięła pasek i guzik od spodni. Znała jeszcze jeden sposób, aby uspokoić sen Pawła. Ten jednak przewrócił się na bok, plecami do niej. Chrapanie ustało.

– Śpij słodko – powiedziała, wiedząc, że jej nie słyszy.

Justyna zła na siebie, na Pawła, szefa i serwis sprzątający, który miał się pojawić dopiero następnego dnia, wróciła do kuchni. Nałożyła na talerz zimną potrawę i naleła wina do kieliszka. Przeszła na taras, aby zjeść i wyciszyć się po całym dniu pracy oraz niespodziance w domu. W blasku księżyca wróciła myślami do lat liceum, kiedy poznała Pawła, nauczyciela języka polskiego, który zachwyił ją swoimi interpretacjami wierszy Szymborskiej. Podobała się jej maniera, z jaką opierał się o biurko i nonszalancko zakładał nogę na nogę. Sposób, w jaki zaczesywał włosy dłonią, na której rysowały się żyły i życiowe doświadczenie, pobudzał jej zmysły od pierwszej z nim lekcji. Dotyku jego dłoni zaznała po raz pierwszy podczas wycieczki szkolnej do Krynicy Morskiej w trzeciej klasie liceum. Po tym zdarzeniu szybko musiał zmienić pracę. Rodzice byli im przeciwni. Mama mówiła, że jest prawie ich równolatkiem. Ojciec narzekał, że z nauczycielskiej pensji nie utrzyma rodziny. Poroniła przed Bożym Narodzeniem. Paweł był cały czas przy niej i pomagał, nie tylko z wierszami Szymborskiej.

Z rozmyślań wyrwała ją muzyka. *Let's do it* – dolatywało z sąsiedniego mieszkania przez uchylone drzwi balkonowe. Paweł uwrażliwił ją na sztukę, puszczając z gramofonu wieczorami płyty z przebojami lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Śpiew poruszył jej gibkie ciało i zaczęła się kołysać w jego rytmie. Wychyliła się przez niewysoką barierkę oddzielającą tarasy. W mieszkaniu obok dostrzegła zarys sylwetki, ktoś siedział tam na kanapie. Nie miała pojęcia, kto tam mieszka. Nie знаła sąsiadów, wychodziła przecież wczesnie rano i wracała późno. Przypomniało się jej, że Paweł wspominał podczas śniadania, że obok wprowadził się ktoś nowy. Procenty krążące w jej ciele pobudziły ciekawość, nie myśląc wiele, przeszła przez ogrodzenie na taras przyległego mieszkania. Skryła się za donicą z oleandrem, skąd miała doskonały punkt obserwacyjny. W salonie siedział mężczyzna, był niemalże w jej wieku. Białe rękawy podwiniętej do łokci lnianej koszuli kontrastowały z opaloną skórą. Czytał w skupieniu książkę i robił notatki w zeszycie, który trzymał na kolanach. Poczwała na ciele dreszcze. Nagle usłyszała z tyłu szczekanie psa, który przebiegł ścieżką za ogrodzeniem wokół bloku. Na sąsiednim tarasie zapaliło się światło, którego blask padał również na nią. Usłyszała skrzypienie sofy, świadczące o nagłej zmianie pozycji siedzącego. Miała nadzieję, że obserwowany mężczyzna wstał tylko po to, by zmienić płytę lub dolać sobie wody. Jednak dźwięk kroków stawał się coraz bliższy. Schowała

się za oparciem stojącego w rogu leżaka. Zapragnęła być niewidzialna i może dlatego bezwiednie zamknęła oczy. Nieznajomy podszedł do progu drzwi balkonowych i złapał za framugę. Spojrzał w przestrzeń, w momencie gdy światło zgasło, a balkon na powrót rozpląnął się w szarościach nocy, wraz z nim mebel, za którym kryła się Justyna. Odgłos szczekania dobiegał już z innej strony budynku. Sąsiad wrócił do lektury. Justyna odetchnęła; czuła, że powinna już wrócić do swojego mieszkania, ale to podpatrywanie sprawiało jej przyjemność. Przyglądała się z uwagą czytającemu, jak zgrabnymi palcami robi notatki, drapie się za uchem i zaczesuje włosy, gdy zastanawia się, co zapisać. Chłonęła wzrokiem jego kilkudniowy, czarny zarost, który musiał przyjemnie kłuć delikatną skórę jego wybranki. Emocje związane z tym, że może zostać nakryta, zdążyły odejść w ciemność wraz z cichnącym szczekaniem psa. Poczowała przypływ innych uczuć. Stwierdziła, że dalej drży, choć noc była wyjątkowo ciepła. Przesunęła dłonią po szyi, po piersiach i dalej, w kierunku spodenek. Znieruchomiała zaskoczona. Do pokoju wjechała dziewczynka. Wychudzonymi dłońmi toczyła koła wózka inwalidzkiego. Zatrzymała się przy kanapie, na której siedział mężczyzna, i wskazała ręką na taras. Podpatrywany przez Justynę wstał i szybkim krokiem zbliżał się do okna. Justyna wstrzymała oddech z przerażenia. Ponowne schowanie się za leżakiem nie miało już sensu, skoro została zauważona. „O, cholera...”, przeszło jej cicho przez zaciśnięte

gardło. Schyliła się przy donicy, cały czas obserwując, co dzieje się po drugiej stronie okna. Oddech jej skrócił się i przyspieszył. Sąsiad otworzył szeroko drzwi balkonowe. „Boże...”, jęknęła w myślach i zacisnęła powieki.

Nic się nie zadziało. Nikt nie krzyczał, ani nie ziścił się żaden z tysięcy scenariuszy, które w kilka sekund przetoczyły się przez jej głowę. Mężczyzna wrócił do dziewczynki. Nachylił się nad nią, zasłaniając ją swoim ciałem. „Teraz albo nigdy”, poruszyła bezgłośnie ustami. Wzięła rozpęd, bosymi stopami podparła się o drewnianą kratownicę, po której wił się bluszcz, i przeskoczyła przez barierkę. Stała w drzwiach swojego mieszkania. Nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, jednak miała wrażenie, że jej bijące serce słychać na drugim końcu osiedla. Na sąsiednim tarasie mężczyzna przeniósł dziewczynkę przez próg i ułożył ją na leżaku. Letni ciepły wiatr rozgonił kłębiaste pierzyny i srebrny glob znowu ukazał się na niebie.

– Julciu, tu jest trochę chłodniej, może uda ci się zasnąć. – Justyna usłyszała mężczyznę.

– Zobacz, jaki piękny księżyc – odezwał się delikatny dziecięcy głos. – Zawsze gdy na niego spojrzysz, wspomnij mnie, tatuśku. Obiecujesz?

– Obiecuję – odpowiedział. Po policzku mężczyzny stoczyła się łza. Przytulił dziewczynkę i tak trwali przez kilka chwil.

– Tato, zobacz, ile oberwanych liści z naszego bluszczu! – zmieniła temat wyraźnie zezłoszczona córka sąsiada.

– Ech... To pewnie ten pies, co przychodzi tutaj od paru dni. Musiał przecisnąć się przez ogrodzenie i nam tu nabałaganić. W weekend się tym zajmę – odpowiedział z troską.

Justyna po cichu wróciła do sypialni. „Muszę być niezłą suką”, pomyślała, przytulając się do Pawła.



Karolina Kotkowska  
**PODRÓŻ**

*Mojemu bratu, który zmienia moje życie na lepsze.  
Love you, Big Bro*

– Pomocy!

Dziewczyna zakłęła pod nosem. Ta noc nie należała do najprzyjemniejszych. Czowała krew ściekającą po policzku i gorzki smak frustracji. Trzy lata nieustającej ucieczki. Trzy cholerne lata walki z demonami.

– Pomocy!

Głos dochodził z pobliskiej alejki. Cichej, brudnej, zapomnianej przez wszystkich. Pod ścianą tkwiła skulona dziewczyna, miała najwyżej szesnaście lat. Z przerażeniem wpatrywała się

w mężczyznę stojącego przed nią. Charlotte bezszelestnie wylądowała na ziemi, wyciągając zza pazuchy stary, ręcznie zdobiony sztylet.

– Cześć brzydaku – powiedziała. – Zabawimy się?

Mężczyzna odwrócił się w jej kierunku. Nie przypominał typowego człowieka, którego można spotkać na ulicach. Jego ciało pokrywały liczne wijące się tatuaże, a oczy były całkowicie czarne. Widząc postać w długim czarnym płaszczu, z głębokim kapturem zarzuconym na głowę, uśmiechnął się szyderczo.

– To o tobie wszyscy mówią – powiedział. – Ostatnia z nich. Ostatnia z tej plagi, która szerzyła się tu jeszcze kilka dekad wstecz. Ostatnia z rodu „Zabójców”.

Charlotte zaśmiała się pod nosem. Dziwiło ją, że demony nie mają lepszych rzeczy do roboty niż plotkowanie.

– Nie wiem, co o mnie mówią, nie interesuje mnie to. Interesuje mnie za to jedna informacja: gdzie on jest?

Mężczyzna parsknął, widząc, z jaką powagą i stoickim spokojem Charlotte zadała mu to pytanie.

– Pomóż mi...

Szesnastolatka przyparta do ściany patrzyła z przerażeniem to na Charlotte, to na mężczyznę. W jej oczach pojawiła się krztyna nadziei na wyjście z tej sytuacji cało.

– Zamknij się – warknął mężczyzna, chwytając nastolatkę za gardło. Zanim Charlotte zdążyła mrugnąć, demon roztrzaskał głowę dziewczyny o mur.



– Strasznie nie lubię ludzi – powiedział. – Nie mają żadnych hamulców, cały czas błagają. Żalodne.

– Pożałujesz tego – powiedziała Charlotte.

Bez wahania rzuciła się na demona ze sztyletem w ręce. Ten jednak wydawał się przygotowany na nadchodzący cios. Złapał Charlotte za nadgarstek i wytrącił jej sztylet z ręki. Charlotte wydała z siebie krótki, przeszywający krzyk, kiedy coś ostrego rozdarło jej skórę na plecach. Zamroczył ją ból. Chcąc odsunąć się od napastnika, zrobiła krok w tył. Zakłęła cicho, gdy jej plecy napotkały mur.

– Nie uciekniesz mi – powiedział demon szyderczo. – Nie mogę się doczekać, by zabrać twoje truchło do naszego gniazda.

Przygwoździł Charlotte do ceglanej ściany, starając się zadać jej jak najwięcej cierpienia. Jej krzyki i próby wydostania się z uścisku, bawiły go.

– HEJ! ZOSTAW JĄ W SPOKOJU!

Demon odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Ta chwila nieuwagi wystarczyła, by Charlotte wyciągnęła mały nożyk z tylnej kieszeni spodni. Jednym ruchem wbiła go ostrze w demona, zamieniając go w pył. Osunęła się na ziemię, oddychając z trudem. Wiedziała, że ból wkrótce pozbawi ją przytomności. Słyszała, że ktoś do niej mówi, jednak ten głos dobiegał z bardzo daleka. Ostatnie, co poczuła, to czyjeś ręce, które podnosiły ją delikatnie z ziemi. Potem był mrok.

*Stara, choć zadbana rezydencja, była chlubą naszego miasta. Nasza rodzina mieszkała tam od pokoleń i od pokoleń chroniła ludzi przed wpływem demonów. Nazywano nas „Zabójcami”, jednak w normalnych warunkach, nikt by nas o to nie posądził. Było nas czworo: moja matka Elaine, mój ojciec Stephen, starszy brat Alexander i ja. Mimo dziwnych tradycji i niecodziennych obowiązków, żyliśmy szczęśliwie. W wieku dziesięciu lat zaczęliśmy trening, który miał nam w przyszłości pozwolić na kultywowanie obowiązków naszych przodków. Już od samego początku przejawiałam ogromny talent, zarówno bitewny, jak i magiczny. Wiele godzin spędzałam z Alexandrem na szlifowaniu umiejętności. Brat uczył mnie sprytu. Uczył mnie, jak wykorzystać swój talent, tak by nie zrobić krzywdy sobie i innym. Byliśmy szczęśliwi. Jednak pewnego dnia otrzymaliśmy wiadomość o demonie, który grasował w okolicy. Nasza czwórka pobiegła na miejsce zdarzenia. Nie zorientowaliśmy się, że to pułapka, dopóki się wokół nas nie zatrzasnęła. Zostaliśmy otoczeni.*

*– Zbyt długo wasz klan krzyżował nam plany.*

*To była jedna z rzeczy, którą zdołałam usłyszeć. Do dziś pamiętam twarze rodziców; wiedzieli, że nie mamy żadnych szans na ucieczkę. Alexander chciał coś powiedzieć, ale ojciec mu przerwał.*

*– Zaopiekuj się siostrą, dobrze? – powiedział.*

*To, co się stało potem, ukształtowało mnie jako osobę. Widziałam, jak banda demonów zabija moich rodziców. Powoli i boleśnie.*

*Kiedy skończyli, zwłoki były rozsmarowane na ścianie. Chciałam coś zrobić. Krzyczeć, płakać, zabić wszystko, co stoi na mojej drodze. Lecz Alexander mi na to nie pozwolił. Wykorzystując zamieszanie, porwał mnie na ręce i uciekł jak najdalej. Od tamtej pory było nas już tylko dwoje: mój brat i ja. Chcieliśmy być szczęśliwi, jednak ktoś, kto stoi ponad nami wszystkimi, postanowił inaczej.*

Dziewczyna leżała nieprzytomna w ciemnej alejce. Jej oddech był płytki i nierówny, a z rany na plecach ciekła krew. Człowiek, który ją znalazł, siedział obok w oczekiwaniu na karetkę. Mając trochę czasu, przyjrzał się jej uważnie. Strój wykonany był z materiału przypominającego skórę. Miał dużo kieszonek, w których schowane były najróżniejsze bronie: nożyki, żyletki, dziwnie pozaginane pręty. Każdą z nich zdobiły niecodzienne znaki i symbole, przypominające wijące się węże. Odślonięte ramiona, szyja i część twarzy Charlotte pokryte były bliznami lub dopiero co zagojonymi ranami, a jej białe, sięgające ramion włosy, zabarwiła krew. Nie w takim stanie powinna znajdować się szesnastoletnia dziewczyna.

– Cholera jasna, gdzie ta karetka... – zaklął siedzący przy niej człowiek. Był przerażony tym, z jaką prędkością dziewczyna blądła, a kałuża szkarłatu się powiększała. Złapał Charlotte za rękę i rzekł do niej:

– Karetka jest już w drodze, wytrzymaj.

Odpowiedział mu tylko dźwięk rozpoczynającego się deszczu.

*Przez rok po śmierci rodziców razem z Alexandrem spełnialiśmy nasz obowiązek wobec przodków. Zgrzyt metalu uderzającego o metal, zapachy, proch i widok zwłok stały się dla mnie codziennością. Każdego dnia walczyliśmy o przetrwanie i sprawiedliwość. Alexander tego nie okazywał, lecz wiedziałam, jak bardzo cierpi po utracie rodziców. Stał się spokojniejszy i nie uśmiechał się już tak często. Dla mnie każdy dzień był walką z samą sobą. Nieustające koszmary sprawiały, że mój organizm odmawiał posłuszeństwa. Każdy dzień mógł być ostatni. Nie byłam gotowa na takie życie. Narastający strach i frustracja przerodziły się w ciągłe ataki paniki. Płakałam, dusiłam się. Czułam, że tonę. Czułam, że tracę kontakt z rzeczywistością. Czułam tak wiele w tak krótkim czasie, że mój mózg nie potrafił tego ogarnąć. Byłam pewna tylko jednego: Alexander zawsze był obok. Przytulając mnie, szeptał, że wszystko będzie dobrze, że jestem bezpieczna, że będzie ze mną bez względu na okoliczności. Skąd mogłam wiedzieć, że przyszłość przygotowana dla mnie okaże się taką suką?*

*Tamtego dnia postanowiliśmy zostać w rezydencji. Jego pole ochronne było jedyną gwarancją obrony przed demonami. Czytałam akurat książkę, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Alexander pokazał mi, że mam zachować absolutną ciszę, więc tak zrobiłam. Po chwili pukanie ustało.*

*– Co to było? – zapytałam.*

*– Nie jestem pewny, nie chcę ryzykować – odpowiedział.*

*Chcąc oczyścić umysł, wyszłam do ogrodu na tyłach domu. Było to jedyne miejsce, gdzie czas, demony, zmartwienia i wiele innych rzeczy nie miały prawa dostępu. Pośród róż, magnolii i lawendy stała fontanna, której szmer potrafił uspokoić duszę. Tu nie musiałam uciekać ani się ukrywać. Tutaj magia szła własnym torem. Nagle usłyszałam z wnętrza domu rozdzierający krzyk. Krzyk ostatniej osoby, która była dla mnie ważna – krzyk Alexandra.*

*Wbiegając do salonu, zobaczyłam go klęczącego przed księciem demonów. Ten potwór szukał tego miejsca przez dekady. Dlaczego musiał znaleźć je akurat tamtego dnia?*

*– Zostaw go... w tej... chwili – warknęłam.*

*Demon spojrział na mnie czarnymi oczami, a na jego gębie zagóścił obrzydliwy uśmiech.*

*– Ależ oczywiście – odpowiedział, kłaniając się nonszalancko.*

*Jednym ruchem poderżnął mojemu bratu gardło i rzucił nim o ziemię. Przez chwilę nie byłam w stanie zrozumieć, co właśnie się wydarzyło. Ostatni członek mojej rodziny, ostatnia osoba, która tworzyła mój dom, została zabrana na moich oczach. Nie pamiętam, co było później. Wiem tylko, że ów demon zginął z mojej ręki, a nasza rezydencja stanęła w płomieniach.*

Kiedy karetka przyjechała na miejsce zdarzenia, pojawiła się również policja. Charlotte leżała blada i zimna, bez oznak życia. Puls miała bardzo słaby. Jej czas dobiegał końca. Ratownicy robili wszystko, by ją uratować, lecz nie wiedzieli, czy to cokolwiek

da. Rana na plecach okazała się bardzo rozległa. Podpinając dziewczynę do kardiomonitora, mieli nadzieję, że ten pulsujący dźwięk będzie się utrzymywał, jednak z każdą chwilą rozlegał się coraz słabiej, aby wreszcie zmienić się w prosty, ogłuszający, jednostajny pisk.

Stałam nad własnym ciałem w ciemnej alejce, która niedługo stanie się moim grobem. Czułam, że moja misja się na tym kończy, że mój króciutki byt zatacza krąg. W końcu jakkolwiek by na to spojrzeć, wszyscy jesteśmy częścią czegoś większego. Czegoś, na co nie mamy wpływu. Kiedy człowiek wyobraża sobie własną śmierć, myśli o tunelu z białym światłem lub o nicości, która bezpowrotnie go pochłania. W moim wypadku jest to podróż po wspomnieniach mających znaczenie. Zmieniających bieg mojej historii. A co jest potem? Tego nie potrafię stwierdzić. Wierzę jednak, że każdy dostanie to, na co zasługuje.

*Stanęłam nagle nad błękitnym niebem, a moje stopy dotykały wody, która rozciągała się w nieskończoność.*

- *Nie chciałem, żeby tak było.*
- *To nie powinno tak się skończyć.*
- *Przepraszam, że nie mogłem cię uratować.*

*Przede mną stała moja rodzina. Tata, mama i Alexander. Twarze mieli blade, patrzyli przed siebie ze smutkiem.*

- *Też tego nie chciałam. Jednak to był mój wybór – powiedziałam.*

*Alexander spojrział na mnie, uśmiechając się smutno.*

*– Przez cały ten czas cię obserwowałem. Patrzyłem z dumą, jak codziennie stawiałaś swoje życie na szali, by ratować innych. Ale nie chciałem dla ciebie takiego losu. Chciałem, żebyś była szczęśliwa. Bezpieczna. Bez tego straszego obowiązku.*

*– Jak widzisz, nie potrafiłam tego tak po prostu rzucić – powiedziałam. – Nie po tym, ile poświęciliście.*

*Tata podszedł do mnie i chwycił moją rękę.*

*– To nie miało tak wyglądać. Masz szesnaście lat, to nie jest pora, żeby umierać.*

*– Najwidoczniej życie napisało mi inny scenariusz.*

*Mama milczała. Patrzyła na mnie ze łzami w oczach. Patrzyła na mnie z bólem. Po chwili podeszła i nieśmiało powiedziała:*

*– Wiem, ile przeżyłaś, i wiem, że masz prawo do odpoczynku od całego bólu i cierpienia... Jednak to jest twój wybór. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Chcę, żeby twoje życie należało do ciebie i tylko do ciebie. Nie do tradycji. Nie do walki z demonami. Do ciebie.*

*Wiedziałam, że nadszedł czas wyboru. Tyle bólu i cierpienia. Moja rodzina, która jest przy mnie. Nagle decyzja stała się dziecinnie prosta.*

Ratownicy odwrócili się, kiedy usłyszeli głęboki wdech. Charlotte otworzyła oczy, gotowa, by iść dalej przez swoje życie.





Ewelina Lewandowska-Żabińska

# TO JEST MÓJ DOM

Długo dojrzewiała w nas myśl, aby opuścić nasze rodzinne strony i wyjechać gdzieś dalej. Tutaj przecież było tak bezpiecznie. Byli nasi rodzice gotowi wspomóc nas w każdej chwili, byli sąsiedzi, którzy służyli dobrą radą. Dookoła zieleniły się znajome łąki, na których pasły się tłuste krowy starego Jędrzeja, właściciela sąsiednich gruntów. Nieopodal jezioro błyszczało w słońcu, przyciągając strudzonych wędrowców, aby zanurzyli się w jego wodach i ochłodzili zmęczone letnim skwarem ciała. To było nasze miejsce, gdzie w niedalekim kościele członkowie naszych rodzin byli chrzczeni, gdzie zawierali małżeństwa, te szczęśliwe i te mniej, i gdzie w końcu odchodzili na wieczne odpoczywanie.

– Dostałem pracę w Gdańsku – oznajmił entuzjastycznie mój mąż, pewnego słonecznego dnia. W końcu, po wielu wysyłanych

CV, nerwowych rozmowach kwalifikacyjnych, otrzymał propozycję od jednej z firm.

– Pieniądze dobre, a nawet lepiej! – krzyknął. – Nareszcie coś się dzieje!

– Nie gadôj, jaż ùdrzisz – powiedział pan Jędrzej z przekąsem, widząc naszą radość ze zbliżającego się wyjazdu.

– Oj tam, gadacie – odpowiedziałam. – Tam jest inaczej. W Gdańsku są możliwości, praca, a tu co? Pracy nie ma, pieniędzy nie ma. Jak sklep o piętnastej zamkną, to nawet nie ma gdzie chleba kupić. Co nas tu czeka?

Nastał czas przygotowań i pakowania. Od przysłego miesiąca Krzysiek zaczynał pracę, a jeszcze nie mieliśmy gdzie zamieszkać. Każdego dnia sprawdzałam mieszkania do wynajęcia, jednak nasze oszczędności nie pozwalały na przebieranie w ofertach. Szczęście i tym razem się do nas uśmiechnęło. Kiedy zrezygnowana wpatrywałam się bezmyślnie w ekran komputera, przyszła sąsiadka, wołając już od progu:

– Anka! A ty nadal tego mieszkania szukasz?

– Szukam, szukam, tylko znaleźć nie mogę.

– A bo ja rozmawiałam ze szwagierką, wiesz, no tą, co za Waldusia wyszła, i razem w Berlinie siedzą. A wiecie im się! On ma taką pracę, że z domu nie wychodzi! W domu pracuje, czy ty to rozumiesz? Jak to – się pytam? A on, że nic, komputer włącza i pracuje! Na tarasie swojego domu! To zawsze sprytny bëniel był!

– Rzeczywiście fajna praca – odpowiedziałam. – Tylko pozazdrościć. U mnie, póki co, nieciekawie. Krzysiek pracę znalazł, a mi jakoś nie idzie. I z tym mieszkaniem też pod górkę. Takie pieniądze... – westchnęłam.

– No i ja tu właśnie po to przyszedłam. Bo jak ja z tą szwagierką rozmawiałam, to ona mówi mi, że jej rodzice mają mieszkanie w Gdańsku, co puste stoi. Bo oni też już od dawna w Niemczech mieszkają i ani myślą wracać. A mieszkania sprzedać nie chcą, bo mają nadzieję, że jakiś wnuk choć do Polski wróci, ale wiesz, jak to oni. Nikt się z lepszego nie chce na gorsze zamieniać i tam wszyscy siedzą. Ja tam się nie znam – ciągnęła – ale mieszkanie podobno duże, w kamienicy, gdzieś w centrum Gdańska. Dużo by nie wzięli, bo im bardziej o to chodzi, żeby ktoś to doglądał, rozumiesz? Zapytać się ich? Zainteresowana jesteś?

– Pani Irenko jak najbardziej! – wstąpiła we mnie nadzieja – Pani się zapyta, ile chcą, co?

– Zapytam, zapytam – odpowiedziała z uśmiechem.

Udało się. Spakowaliśmy cały dobytek, choć dużo tego nie było. Raptem kołdra z pierza, którą na ślub dostaliśmy od rodziców Krzyśka, serwis obiadowy, ubrania i parę drobiazgów, pamiątek, prezentów.

Urządzenie się zajęło nam kilka miesięcy. Mieszkanie rzeczywiście było dość duże, w dodatku odnowione i z pełnym wyposażeniem. Ciężkie meble gdańskie trochę peszyły nas swoją

majestatycznością. Drewniane lwy z kredensu bacznie się nam przypatrywały.

– Pięknie! – wykrzyknęłam z zachwytem.

Sprzątanie zakurzonych sprzętów, mycie okien i polerowanie podłogi skutecznie odsunęły ode mnie zamiar poszukiwania pracy. Po pewnym czasie nie musiałam nawet o tym myśleć. Początkowo sądziłam, że mój okres spóźnia się przez te zawirowania z przewodzątką, ze zmianą stylu życia. Jednak, kiedy nie było go już naprawdę długo, zaczęłam się niepokoić.

– Gratuluję. Jest pani w ciąży – usłyszałam wkrótce.

Krzysiek wychodził rano i wracał wieczorem. Ja zwykle przygotowywałam dla nas obiad, dusząc w sobie mdłości, sprzątałam niewidzialny kurz i siadałam przy oknie. Nic lepszego nie było do roboty. Nie miałam tu nikogo, a pani z warzywniaka, mimo swej gadatliwości, nie wydawała się zainteresowana bliższą znajomością. Coraz bardziej jednak moją uwagę przykuwała staruszka, która – jak się okazało – była naszą sąsiadką. Sprawiała dziwne wrażenie. Malutka, zgarbiona, jej siwe włosy w nieładzie opadały na ramiona, a sztywne suknie szeleściły na wietrze. Codziennie rano wychodziła z mieszkania, zsuwając się cicho po schodach niczym duch.

„Wygląda jak z innej epoki. Wygląda tak staro jak ta kamienica”, pomyślałam.

Moje refleksje co do podróżującej w czasie staruszki rozwiąła pani z warzywniaka.

– To Inge, dziwaczka, ale niegroźna – powiedziała mi pewnego dnia. – Sama tu żyje, nikogo nie ma, pewnie dlatego taka dziwna. Zresztą stara Niemra. Pewnie myśli, że Gdańsk nadal niemiecki.

Kilka dni później ponownie zobaczyłam sąsiadkę. Na zewnątrz silnie wiało. W radiu nadawali ostrzeżenia, że zbliża się sztorm i porywisty wiatr. Inge szła, próbując osłonić się przed podmuchami, lecz nieskutecznie. Wiatr targał jej chudym ciałem tak, że bałam się, że porwie ją i uniesie gdzieś daleko, nad Motławę, albo wywieje na dach któregoś z kościołów. Zaśmiałam się w duchu, wyobrażając sobie taką sytuację, jednak po chwili przestraszyłam się naprawdę. Zniknęła mi z oczu. Na pewno nie weszła jeszcze do budynku. Rozejrzałam się nerwowo. Nic. Pusto. Nie wiedząc czemu, wyszłam z mieszkania i zbiegłam w dół. Stanęłam na podwórku i zaczęłam rozglądać się dookoła. Nagle ją zauważyłam – próbowała podnieść się z klęczek. Ze skroni spływała jej cienka strużka krwi. Podbiegłam szybko, pomogłam jej wstać i poszłyśmy do drzwi wejściowych. Nic nie mówiąc, zaprowadziłam staruszkę do naszego mieszkania. Posadziłam ją w salonie na krześle, przyniosłam zwilżony ręcznik, aby otrzeć jej twarz, i plaster, by zatamować krwawienie. Żadna z nas nie odezwała się dotąd ani słowem. Stojąc tak blisko niej, zauważyłam, że jest jeszcze mniejsza, niż mi się wcześniej wydawało. Skórę miała prawie przezroczystą, jej niemożliwie niebieskie oczy na wychudzonej twarzy wyglądały na ogromne.

– Jak się pani czuje? – zapytałam wreszcie.

Nie odpowiedziała.

– Może wody trochę? Może coś boli? Lekarza wezwać?

Nadal cisza. Patrzyła tylko na mnie, a w końcu jej wzrok zatrzymał się na wysokości mojego brzucha.

– Dziecko – ni to stwierdziła, ni zapytała.

– Tak – odpowiedziałam lekko zdezorientowana.

Podniosła się z krzesła, rozejrzała po mieszkaniu i ruszyła w stronę wyjścia. Stałam nadal na środku pokoju nie bardzo zdając sobie sprawę, co się przed chwilą stało.

Wieczorem opowiedziałam mężowi wydarzenia całego dnia.

– Trzymaj się od niej z daleka, to wariatka jakaś – powiedział, gdy skończyłam.

– Daj spokój, to już stara kobieta, każdy ma prawo trochę zdziwaczeć – broniłam jej.

– Uważaj, ona może być niebezpieczna.

– A co, myślisz, że zakradnie się tu w nocy i nas zamorduje? – zakpiłam.

– No nie, ale ty w ciąży jesteś, nie wiem, urok rzuci czy coś. Ona ma w sobie coś takiego..., sam nie wiem. Kiedyś spotkaliśmy się na schodach. Szedłem z pracy, a gdy ją mijałem, przystanęła i powiedziała patrząc na mnie: „te oczy, te oczy”. Dziwna jakaś taka była. Jak w transie.

– Przestraszyłeś się bezbronnej staruszki? – zaśmiałam się. Po chwili śmialiśmy się już oboje.

Przez kolejne dni wyglądając przez okno nie natrafiłam już na sąsiadkę. Trochę się martwiłam. „Może umarła?”, myślałam. – „Albo straciła przytomność i nie może wezwać pomocy?”. Trochę z ciekawości, a trochę z troski postanowiłam zejść piętro wyżej i sprawdzić, czy rzeczywiście nic się nie stało. Zapukałam do drzwi. Cisza. Zapukałam ponownie. Nacisnęłam na klamkę. Drzwi ustąpiły.

– Halo, jest tu pani? – zawołałam. – To ja, Ania, sąsiadka z dołu.

Zobaczyłam ją, jak siedziała na krześle w dużym pokoju. Obserwowała mnie.

– A... tu pani jest, przyszedłam zobaczyć, czy wszystko w porządku?

Skinęła głową.

– W takim razie przepraszam, że tak panią naszłam, wracam już do siebie. Do widzenia – mówiłam, jednocześnie idąc do wyjścia. Pomyślałam, że może moja obecność nie odpowiada staruszce.

– Herbaty? – doszło do mnie ciche zapytanie.

– Mam pani zrobić?

– Nie. Czy masz czas ze mną wypić?

– Dobrze, chętnie – odpowiedziałam. Ciekawość zwyciężyła. Zresztą co lepszego miałabym robić u siebie?

– Długo pani tu mieszka? – zapytałam, próbując zagaic rozmowę.

– Od urodzenia – odpowiedziała.

– To pewnie zna pani tu wszystkich? – czułam, że plotę bez sensu.

– Dużo ludzi tu żyło. Większości z nich już nie ma. Tylko ja nadal jestem.

– Gdańsk się na pewno dużo zmienił przez te lata? – brnęłam.

– Niestety – odpowiedziała krótko.

Nazywała się Inge Klaffke. Urodziła się w 1925 roku. Powiedziała, że jest gdańszczanką.

– Do Polaków mi daleko. Do Niemców też.

Ta wizyta była pierwszą z wielu kolejnych. Odwiedzanie starszej pani stało się dla mnie elementem każdego dnia. Nie podobało się to Krzyśkowi.

– Ona tak dziwnie na mnie patrzy – mówił.

Mnie jednak te spotkania coraz bardziej wciągały. Inge opowiadała o skandującym tłumie, gdy we wrześniu 1939 roku Hitler przybył do Gdańska. O wykrzykiwanych wtedy hasłach: „Danzig ruft: – »Zuruck zum Reich«”. O wojennej zawierusze. Gdy jej kochane miasto płonęło. Ale wspominała także o pysznych lodach waniliowych, które latem 1933 roku jadła z ojcem w modnej wówczas kawiarni przy Breitgasse.

– To było moje ostatnie miłe wspomnienie z ojcem – westchnęła. – Dobry był z niego człowiek. Dwa lata później wyjechał do Berlina. Podobno coś w związku z jego pracą naukową. Nigdy nie wrócił. Nigdy już o nim nie usłyszałam. – W Gdańsku została z matką i starszym bratem.



– Nigdy już nie jadłam lodów waniliowych – dodała.

Innym razem opowiadała mi historię swojego brata.

– Johannes miał iść w ślady ojca, tak mu wrócono. Chodził do męskiego Conradinum w Langfuhr. Inteligentny, mądry. Ale delikatny. Za delikatny na tamte czasy.

– Co się z nim stało? – zapytałam.

– To co z innymi młodymi chłopcami zdolnymi do służby wojskowej. Wzięli go do armii niemieckiej. W czterdziestym trzecim walczył pod Stalingradem. Nic już więcej o nim nie wiem. Nie wiem nawet, gdzie jest pochowany – ostatnie zdanie powiedziała już szeptem.

– Bardzo mi przykro.

Zaprzyjaźniłyśmy się. Staruszka często spoglądała na mój rosnący brzuch i uśmiechała się mówiąc, że to już kolejne pokolenie się zaczyna. Ja zaś czułam się bezpieczniej, wiedząc, że ktoś jest zawsze obok mnie. Mąż przyzwyczał się do tej znajomości. Czasem żartował, że bez swojej przyjaciółki nie mogę żyć.

Inge dużo opowiadała o swojej rodzinie, jednak rzadko o zdarzeniach, które dotyczyłyby jej samej. Kiedyś zauważyłam u niej leżącą na wierzchu płytę gramofonową. Wzięłam ją do ręki, aby zobaczyć, co zawiera, i rzuciło mi się w oczy nazwisko kompozytora: Klaffke.

– Mój mąż był kompozytorem – powiedziała, widząc zdumienie na mojej twarzy.

– Możemy włączyć? – zapytałam.

Ustawiła płytę w gramofonie i usiadła z powrotem przy stole. Muzyka wypełniła pokój.

– Mąż sporo podróżował. Grywał koncerty. Także tu, w Gdańsku, w siedzibie Bractwa Strzeleckiego. Nawet Artur Rubinstein tu grał. Sigmund był dobrym człowiekiem. Poznaliśmy się tuż po wojnie. Oboje postanowiliśmy pozostać w tym mieście mimo niesprzyjających czasów.

– Ślub tutaj braliście?

– Tak, w kościele świętego Mikołaja. Byliśmy tylko my, ksiądz i nasi świadkowie. Mojej rodziny nie było – nikt nie przeżył wojny. Z rodziny Sigmunda też nie było nikogo, ojciec zginął podczas bombardowania, jego matka i siostra przeżyły, potem przenieśli się do Dortmundu i ani myślały, by ponownie przyjechać do Gdańska.

– Mieliście z nimi jakiś kontakt? – zapytałam.

– Nie było takiej potrzeby, nasze życie tu bardzo różniło się od tego tam. Zresztą my nie chcieliśmy wyjeżdżać.

– A mieliście dzieci? – zadałam pytanie i od razu uświadomiłam sobie, że było ono niestosowne. Czułam, jak cała się czerwienię.

– Chcieliśmy. Zachodziłam w ciążę i szybko ją roniłam. Bóg nie chciał, abym była matką.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi, skąd mogłaś wiedzieć. Dziś mówienie o tym nie sprawia mi już tyle bólu, co kiedyś – zamyśliła się. – Nowa

Polska nie spełniała naszych oczekiwań. Mąż już nie koncertował. Czasem grał po hotelach w Gdańsku, w Sopotcie. Ale już było inaczej. Wojna pozbawiła ludzi wrażliwości na muzykę, na piękno. Coś bezpowrotnie już stracili.

Inge podeszła do gramofonu i przewróciła płytę na drugą stronę. Spojrzała na mnie wielkimi, niebieskimi oczami.

– Sigmund zmarł w 1960 roku. Zabił go smutek, który zżerał go od środka. Nie mógł odnaleźć się w powojennej rzeczywistości. Dla ludzi, którzy sprowadzili się tutaj, byliśmy Niemcami, przyczyną wszelkiego zła. Za dużo widział, za dużo przeżył. To nie były dobre czasy.

Opowieść sąsiadki mocno mnie poruszyła. Przypomniały mi się słowa kobiety z warzywniaka, która mówiła o Inge „ta Niemra”. Podział na „my” i „oni” wciąż istniał.

Mój brzuch rósł w błyskawicznym tempie. Inge śmiała się, że wie, kiedy do niej wychodzę, bo już słyszy sapanie na schodach. Coraz bardziej czułam, że noszę w sobie dziecko, że będę matką, i coraz bardziej podobała mi się ta myśl. Pomiędzy stylowe gdańskie meble w naszym mieszkaniu upchnęliśmy dziecięce łóżeczko i przewijak. Krzysiek częściej brał pracę do domu, aby być przy mnie w razie potrzeby. Trochę rzadziej zachodziłam na wyższe piętro, ale zawsze, raz czy dwa razy w tygodniu musiałam ją odwiedzić.

Pewnego dnia zastałam Inge w bardzo dobrym humorze.

– Powoli zbliża się mój czas – powiedziała.

– Głupoty pani gada, sąsiadko – odpowiedziałam. – Dobrze pani wygląda, humor dopisuje, a niebawem będziemy razem na spacerach wychodzić z małościem. To już tuż-tuż.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Teraz jest wasz czas. Twój i twojego małżonka. I waszego dziecka.

– A tam, dla Krzyśka zawsze mam czas – roześmiałam się.

– Krzysztof. Christopher... – zamyśliła się – Tak miała na imię miłość mojego życia.

Zrobiłam wielkie oczy. Tej historii jeszcze nie słyszałam.

– Wojna nie stanowi dobrego tła dla miłości – dodała. – On był stąd, z Kaszub. Miał piękne zielone oczy, gęste, mocne włosy. I był bardzo wysoki. Dwa razy jak ja – zaśmiała się.

– Nie wspominała pani nigdy o nim...

– Bo to, Aniu, historia tak piękna jak tragiczna. Byliśmy bardzo młodzi. Poznaliśmy się na plaży w Glettkau. Było tam molo i kiedyś poślizgnęłam się na jego mokrych deskach. Nagle ktoś złapał mnie i uchronił przed upadkiem. Wtedy już zatonełam w zieleni jego spojrzenia.

– I...?

– Był Kaszubem, jak już mówiłam, i brał udział w wojnie, po niemieckiej stronie, oczywiście. Jednak w związku z poważną raną jaką odniósł, już w czterdziestym drugim wrócił do domu. Tam zajął się gospodarką, bo jego rodzina miała sporo ziemi i nie było komu tego obrabiać. Zakochaliśmy się w sobie od

pierwszego wejrzenia. Spędzaliśmy razem każdą wolną chwilę. Rozmawialiśmy o wszystkim, o gwiazdach na niebie, o książkach, o sytuacji politycznej. Wtedy wojna wydawała nam się nie-straszna. A my wierzyliśmy... – sięgnęła po szklankę wody i popiła, próbując ukryć drżenie głosu – że jak to się wszystko skończy, to zamieszkamy – na tej jego wsi, będziemy pracować i będziemy szczęśliwi. Nic więcej.

– No ale co się stało?

– W Gdańsku pojawili się żołnierze radzieccy. Ogień trawił miasto. Na Holzmarkt, gdzie umówiłam się z Christopherem zaczął mnie pijany czerwonoarmista. Chwytał za rękę i zaczął ciągnąć w pobliski zaułek. Szarpałam się i krzyczałam. Na nikim nie robiło to wrażenia – zawiesiła głos. – Nagle nie wiadomo skąd pojawił się Christopher i z całej siły uderzył Ruska w głowę cegłówką, którą podniósł z ziemi. Ciężkie ciało bandyty osunęło się na zmarzniętą ziemię. Uciekliśmy.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęłam.

– Wiedzieliśmy już wtedy, że nie ma tu dla nas miejsca. Że na pewno ktoś widział tę sytuację i zaraz na nas doniesie. Mój ukochany wpadł na pomysł, że musimy uciekać, że skoro mamy siebie to nic nas tu nie trzyma. Wieczorem przyszedł do mnie i powiedział, że ma dla mnie miejsce na statku „Wilhelm Gustloff”, że razem z innymi wsiądę na pokład i popłynę do Niemiec, że tam na pewno jest bezpieczniej. A on niebawem do mnie dojedzie i zaczniemy wszystko od nowa: we dwoje.

– Zgodziła się pani?

– Nie wiedziałam co robić. Wahałam się. Całą prawie wojnę spędziłam w Gdańsku, a dopiero pod jej koniec zaczęłam się bać o nasze życie. Nie było to łatwe, ale zgodziłam się. Na pakowanie miałam niewiele czasu. Statek odpływał już za dwa dni.

– To tak mało czasu. Nie bała się pani?

– Bałam, ale wierzyłam, że robię to dla nas. Saniami zawieziono mnie i innych do portu w Gdyni. Pełno tam było ludzi. Stałam tak i widziałam, jak wielkie nadzieje pokładali w tym rejsie. Jak mówili, że statek weźmie ich do domu. I wtedy zrozumiałam, że mój dom jest tu. Odwróciłam się i zdecydowałam, że nigdzie nie płynę. Niemcy to nie mój dom. Mój dom to Gdańsk, Danzig.

– A gdzie był Christopher ? – zapytałam.

– Nie odprowadzał mnie, bo umówiliśmy się, że nie będziemy się żegnać. Że po dopłynięciu dam mu znać gdzie jestem. I wtedy przyjedzie. Jednak po powrocie tu, do kamienicy, przez kilka dni nie wychodziłam z domu. To, co działo się na ulicach, przechodzi ludzkie pojęcie. Przestały istnieć domy przy Hundegasse, Melzergasse i Ketterhagergasse. Miasto płonęło. Wnętrza dostojnych kościołów zmieniały się w gruzowiska. Mijały dni. Żyłam jak w jakimś letargu. Doszły do mnie informacje, że Gustloff zatonął, że zginęło bardzo dużo ludzi. Dziękowałam Bogu, że mnie tam nie było.

– No tak, ale co z Christopherem? – dopytywałam wzruszona.

– Gdy w końcu wyszłam z domu po długim czasie, odważyłam się do niego pojechać. Spotkać się. Powiedzieć, że żyję, że nie płynęłam tym tragicznym rejsiem. Kiedy dotarłam do wsi, zastałam zgliszcza. Tam, gdzie miał się znajdować jego dom, znalazłam tylko lej po bombie. Usiadłam i płakałam. Został mnie tak jakiś stary Kaszub, który widząc w jakim jestem stanie, zorganizował mi powrót do domu.

– Zginął? – dopytywałam, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszałam.

– Tak. Podobno nie mieli szans na ratunek.

Zapadła cisza. Inge wierzchem rękawa otarła napływające do oczu łzy. Czas nie ukoił tego bólu, nie wyleczył tych ran. Nagle wstała, wzięła z półki modlitewnik i wyjęła z niego zdjęcie. Podając mi je, powiedziała.

– To on. Christopher Retz. Miłość mojego życia.

Spojrzałam na fotografię, która przedstawiała młodego chłopaka. Jego szeroki uśmiech wzbudzał sympatię. A oczy pełne były spokoju. Znałam te oczy.

Kiedy wróciłam do mieszkania nadal nie mogłam otrząsnąć się z tego, co usłyszałam. Od razu otworzyłam szafę i wyciągnęłam z niej albumy, które przywieźliśmy z domu. Po chwili znalazłam to czego szukałam.

– Mam! – powiedziałam na głos. Ręce drżały mi z podniecenia. Trzymałam w nich fotografię dziadka mojego męża. To był on. Jak nic.

– Te oczy! – mówiłam do siebie. – Krzysztof ma takie oczy! I ma imię po dziadku, ojcu swojej matki! – szybko chwyciłam telefon i wybrałam numer do męża.

– Halo? Krzysiek, weź mi powiedz, jak nazywał się twój dziadek, ten od strony matki?

– Hej, po co ci to?

– No mów! – nalegałam.

– Ale on umarł już dawno temu, jak mały byłem. Krzysztof Reca się nazywał. Halo? Halo! Jesteś tam?

Wieczorem zrelacjonowałam mu całą historię. Nie mógł uwierzyć w to co słyszał. Powiedział:

– Pamiętam tylko, że dziadek się nigdy nie uśmiechał. Był najsmutniejszą osobą jaką znałem.

Tej samej nocy zawiózł mnie do szpitala. Skurcze chwyciły mnie jakoś po drugiej. Następnego dnia rano trzymałam już w rękach naszą córeczkę. Po południu przyszedł Krzysiek. Jednak z jego twarzy wyczytałam coś niepokojącego. Powoli dotarło do mnie, co chciał mi powiedzieć.

– Zmarła w nocy – odpowiedział na moje pytające spojrzenie, po czym usiadł i przytulił się do mnie. – Jak tam nasza mała księżniczka? Mamy już dla niej imię? Wymyśliłaś coś?- zapytał.

– Może Inga? – zaproponowałam.

– Jeśli tak uważasz.

– Wydaje mi się, że zasługuje na to imię.

– W takim razie witamy cię, Ingo, w naszej rodzinie. W końcu.





Aleksandra Majdzińska

## BETLEJEM

W środę o 4.47 Ewa urodziła śmierć. Bolało do żywego, a wyszło nie tak jak powinno. Dziecko nie zachłysnęło się światem.

Starła się przez dziewięć miesięcy. Jadła do ostatniego dnia te nabrzmiałe południowym słońcem owoce, świeże warzywa, bo sezon tutaj jest długi, starła się nie denerwować. Nie mogła zrozumieć, gdzie popełniła błąd.

Długo czekała, aż powiedzą, czy to na pewno chłopak. Mówili coś w języku, którego nie rozumiała. Aż przyszedł Sako i wtedy zapytała po polsku: „Gdzie jest nasze dziecko”?

Stał tak blisko, że czuła zapach „becikowej” wódki.

– Odszedł – szepnął cicho, ledwo mogła go usłyszeć. Zakrył jej dłońmi swoją twarz. A potem powiedział, że wszystko się ułoży.

– Ale z czego, przecież nic już nie ma.

Głaskała puste miejsce na szpitalnej poduszce, masowała pusty brzuch. Czuła, jak z niej płynie, nie było go już, a jeszcze płynął. Lekarze powiedzieli, że tak ma być, do ostatniej kropli, żeby nic nie zostało.

Siostra Lucyna odwiedzała szpital zawsze w ostatni piątek miesiąca, w dzień śmierci pańskiej. Przychodziła pomodlić się za dzieci zostawione przez rodziców. Nie dociekała, dlaczego je zostawiali, życie w tym kraju było trudne, dlatego modliła się też za rodziców. Dzieci czekały na śmierć, albo na to, że znajdzie je siostra Lucyna i zabierze do „Betlejem”, dziecięcego hospicjum, gdzie urodzą się po raz drugi. Ich życie będzie krótkie i wypełnione bólem, ale z Bogiem i syte.

Siostra Lucyna nazywała je aniołkami. Dzisiaj była szczególnie szczęśliwa, bo mogła zabrać ze sobą dwójkę. Gdy weszła do izby porodowej, znajoma pielęgniarka przywitała ją uśmiechem:

– Siostrze, czy są łysy anioły? Bo mamy tu takiego.

Nie był łysy, miał jedynie białe meszki na nienaturalnie małej główce. „Tak jak mój brat, kiedy się urodził” – pomyślała siostra Lucyna. Spojrzała w kartę. Imię i nazwisko matki było napisane łacińskim alfabetem.

– Zabieram go – powiedziała do pielęgniarki.

Ewa nie wiedziała, czy koniec może się skończyć, a jednak tak się stało, gdy 24 grudnia o 15.34 zadzwonił telefon. Twardy ko-

biecy głos chciał rozmawiać tylko z nią, więc mąż przekazał jej słuchawkę.

– Chce pani zobaczyć Andrzeja? – spytała po polsku jakaś kobieta.

– Andrzeja? Ale jakiego Andrzeja?

– Pani syna.

– Jest w „Betlejem”, przy Nork Marasz 37 – dokończyła kobieta i nie doczekawszy reakcji, odłożyła słuchawkę.

– Nasz syn... – zaczęła.

Sako zastygł w oczekiwaniu.

– Co syn? – jego głos przeszedł nagle w krzyk. – Ewa, on nie żyje, rozumiesz!

Stał teraz przy oknie i śmiał się nerwowo.

– Wiedziałaś – po chwili jej słowa przecięły przestrzeń niczym lód.

Odwrócił się i przetarł stężałą twarz, jakby ścierał rozbryzganą krew z pękniętej rany, która nie zdążyła się zabiścić.

W niedużej kaplicy katolickiego hospicjum dla noworodków trwało nabożeństwo. Ewa z mężem też tu byli. Czekali na rozmowę z siostrą przełożoną. Tylko na rozmowę, bo przecież nie mogli zobaczyć kogoś, kogo nie ma – tłumaczył jej Sako. Między ofiarowaniem a podniesieniem rozległa się melodia więziennej piosenki – *Kakaja osjeń w łagieriach* – Sako wyciszył telefon i przecisnął się ku wyjściu.

– Tak mam, tak, nie dzwoń więcej, tak, wiem, co mam robić – słyhać było jego przytłumiony głos z korytarza, gdy ksiądz błogosławił zebranych.

Pachniało mlekiem, stukały butelki ze smoczkami stawiane przez siostrę na tacy, zbliżała się pora karmienia. Siedzieli przy drewnianym stole z haftowaną serwetą pośrodku. W milczeniu wymieniali spojrzenia, gdy siostra mówiła, że Andrzej jest pogodny, ale ma słaby apetyt, że cierpi, bo serduszko nie bije tak, jak powinno.

– A dlaczego siostra wybrała właśnie jego? – przerwał Sako.

– Bo płakał... tak po polsku.

Ewa zerwała się tak, jakby nic nie mogło jej zatrzymać.

A potem stała na schodach prowadzących na piętro, gdzie w jednej z sal, w metalowym łóżeczku, ciężko oddychał ich syn. Jasna główka wyróżniała się wśród kruczoczarnych główek miejscowych dzieci, tak samo zdeformowanych mikrocefalią.

– Nie idź tam – nalegał mąż. – Nie idź!

Wyrwała mu się, kiedy próbował ją przytrzymać. Wpatrywał się w nią, a ona widziała w jego oczach tylko ich syna, jak nieporadnie macha rączkami, jak z trudem łapie powietrze, jak potrzebuje i nie znajduje mamy. I płacze, ciągle płacze, bo przecież ona też ciągle płakała.

– Pozwól mi, tylko jeden raz – prosiła.

– Nie! Nie tak się umawialiśmy! – był stanowczy.

– Błagam, tylko popatrzę.  
– Ewa, proszę – wycedził, a jego twarz przybrała kolor purpury. – Wszystko wróci, będzie jeszcze trudniej.  
– Pójdę... tylko na chwilę.  
Kręcił przecząco głową, a ona mówiła dalej:  
– Przecież on jest nasz, kawałek ciebie, kawałek mnie.  
Zrezygnowany patrzył, jak znika za poświatą szklanych drzwi na końcu schodów.

Nie mógł zapalić papierosa, może to ten marzący grudniowy deszcz, a może za bardzo drżały mu ręce. Czyjaś dłoń podsunęła ogień – zaciągnął się i dopiero wtedy zobaczył starszą panią w zimowej czapce z nausznikami.

– To do zapalania świec w kościele – uśmiechnęła się i wskazała na zapalniczkę. – Zawsze mam przy sobie... Nie zimno panu? – pytała, próbując otworzyć ciężkie metalowe drzwi do „Betlejem”. Pomógł jej bez słowa.

– A może pan wejdzie, tam jest ciepło – mówiła dalej. – Tu mieszkają dzieci, które czekają na takich tatusiów jak pan. Może pan wejdzie, zobaczy. Albo przynajmniej się pan ogrzeje. Tam naprawdę jest cieplej.

– Pani nie rozumie – odrzekł, wypuszczając nikotynowy dym. – Tam na górze jest mój syn.

Siedem dni później o 16.21 w domu Ewy i Sako zadzwonił telefon. Chropowaty żeński głos chciał rozmawiać tylko z nim. I wtedy świat Ewy skończył się po raz drugi.

Wrócił późno, pachniał morwówką. Spojrzał na nią i wiedziała, co będzie. Powiedziała tylko:

– Chcesz, żeby znowu było martwe?

Potem wpatrywała się w zacieki na suficie i czekała, aż wypłynie z niej do ostatniej kropli.





Bartosz Michałowski

# ARENA

Krew kapie powoli. Jedna kropla, druga kropla, aż przemieniają się w strumyczek, który spływa na piasek. Miesza się z nim i zastyga w brunatne błoto.

Czuję też pot. Kropelki powoli spływają po skroni, policzku. Zbierają się w kąciku ust, dając odczuć słony smak wysiłku.

Krew i pot. Teraz tylko to się liczy.

Ból mięśni naciągniętych do granic wytrzymałości. Ból ran, tych starych i tych nowych. Wszystko to jest tylko echem.

Właśnie prawie zginąłem, jednak jakimś cudem żyję, choć lewa ręka powoli odmawia posłuszeństwa. Ledwo poruszam palcami.

Rozglądam się po arenie i widzę mojego przeciwnika. Parę metrów dalej dyszy, podpierając się włócznią. Widzę też gladiusa leżącego między nami. Moja jedyna szansa na przeżycie tego

dnia jest zarazem tak blisko i tak daleko. Powoli zaczynam pełznąć na czworakach w jego kierunku. Pył areny zgrzyta mi w zębach. W momencie gdy wyciągam przed siebie rękę, kątem oka dostrzegam ruch.

– Dziś już na pewno zginiesz.

Chwytam szybko rękojęść. Dłoń zaciska się na dobrze znanym kształcie. Wyczuwam wszystkie paski skóry, wszystkie wypukłości drucianej plecionki. Czuję, jak wraca w moje ciało życie. Znow mam broń i dobrze wiem, co z nią zrobić. Przetaczam się na plecy, a w miejsce, na którym przed chwilą leżałem, wbija się włócznia. Patrząc teraz w górę, widzę go dokładnie. Potężna sylwetka, potężniejsza od mojej. Silne ręce zaciśnięte na włóczni, choć już trochę drżą. Widzę też mocne cięcia na przedramionach. Nie wiem tylko, czy ze zmęczenia, czy z odniesionych ran. Bo przecież już nie raz go ciąłem w tej walce. Ból wykrzywia mu twarz. Pewnie ma już mocno nadwerżone siły. Czas najwyższy zebrać się w sobie.

Odbijam się od ziemi mieczem. Nogi ledwo wytrzymują taki wysiłek, ale trzymają mnie w pionie. Lewa ręka zwisa bezwładnie przy boku. Widzę, jak grot włóczni zatacza łuk i ciągnąc za sobą fale piasku, zmierza wprost w moją pierś. Przenoszę ciężar na jedną nogę i modlę się do wszystkich bogów, by wytrzymała mój ciężar. Udało się. Ostry grot chybia mnie o włos. Tuż za nim, samym rozpędem ciosu, przelatuje przeciwnik. Gdy mnie mijają, czuję mocny zapach jego skórzanej zbroi nasmarowanej łożem.

Przez niego przebija się mocny smród zastałego, kwaśnego potu. Odruchowo marszczę nos i równie odruchowo tnę go w udo. Czuję, jak gladius napiera na skórę, a potem gładko ją przecina i wnika coraz głębiej w ciało. Słyszę tylko głuchy jęk, a potem stuk ciała upadającego na piasek areny.

Dopiero teraz, gdy mam chwilę, aby nabrać oddechu, słyszę te wszystkie dźwięki z zewnątrz.

Nieskończony szum. Wiwaty.

– Brawo.

– Niech żyje Agiusz.

– Dobij go.

– Zabij.

Przeciwnik leży; widzę, że jeszcze żyje. Jego palce zaciskają się w pięść, zgarniając piach.

Podchodzę z wolna i przydeptuję jego dłoń. Przyklękam i mocno wbijam miecz między żebra. Okrzyki tłumu osiągają apogeum. Wstaję i odchodzę w kierunku wrót areny. Zostawiam za sobą szalejący tłum i znikam w ciemnym, chłodnym tunelu prowadzącym w podziemia.

Wracam do swojej celi. Mały stolik, taboret, leżanka z drewnianą ramą i stelażem ze skórzanych pasów. W rogu stojak na zbroję, obok na broń, a na ścianie łuk wschodni. Niby nic wielkiego, jednak sporo czasu zajęło mi uzbieranie na taki wystrój. Może w przyszłości pomyślę o jakiejś lampie. Na przykład oliwnej, żeby jednocześnie dawała światło i migotliwe cienie.

Odkładam gladiusa na miejsce i zdejmuję pancerz.

Zamykam oczy.

Adam otworzył oczy. Leżał na swojej pryczy i wpatrywał się w zawieszony pod sufitem monitor wyświetlający rzędy cyfr. Statystyki pokazane w tabelach były zadowalające. Zwłaszcza ta ukazująca stan konta oraz chwałę. Bardziej cieszyło go to drugie, bo za tym szli sponsorzy. Uśmiechnął się do siebie, pomimo że jego ciałem od stóp do głów wstrząsały dreszcze. Mięśnie spinały się w niekontrolowanych skurczach. Na szczęście mocne pasy utrzymywały go wciąż w pozycji leżącej. Wziął parę głębokich oddechów, żeby zapanować na ciałem.

– Uwolnienie – rozkazał.

Klamry zabezpieczeń zluźowały uścisk. Przeciągnął się, próbując przywrócić krążenie w palcach. Obręcz mocująca głowę nadal trzymała. Musiał ją sam odpiąć i zdjąć, żeby nie naruszyć miliona czujników. Jeszcze nie było go stać na nową, a obecnej dawno skończyła się gwarancja. Drżącymi dłońmi ściągnął gogle. Na niepewnych nogach stanął na zimnej posadzce w ciemnym pokoju. Powłókł się do drzwi. Mrużąc oczy, nacisnął klamkę. Wąska struga światła zalała pomieszczenie i zamigotała na metalowej leżance, monitorach, zestawie czujników i wszystkich kablach je oplatających. „Nigdy się chyba nie przyzwyczaję do tego kostniczego wyglądu” – pomyślał. Odwrócił się i wyszedł.

Reszta mieszkania wyglądała przytulniej. Salon, jak na współ-

czesne standardy, był całkiem spory. Całe sześć metrów kwadratowych pokrytych szaro-brązową wykładziną. Plastikowy stół oraz dwa krzesła tworzyły kącik jadalny, a dwuosobowa wersalka naprzeciwko wielkiego płaskiego ekranu – kącik rekreacyjny. Tuż obok w ścianie odcinało się szerokie, niskie okno, przez które wpadało właśnie mętne światło poranka. W sąsiednim pomieszczeniu znajdowała się kuchnia, w sam raz taka, żeby jedna osoba mogła przygotować sobie danie z paczki. Zwyczajne mieszkanie, jak miliony podobnych w innych dzielnicach, w innych miastach.

Wrzucił do mikrofali liofilizowaną pizzę, połał szklanką wody i nastawił na pięć minut. Zjadł i spakował się do pracy.

Na korytarzu od razu uderzyła go fala żaru i smrodu. Najwyraźniej znów nawalił system odzyskiwania wody. Ostatnio zbyt często się to zdarzało. Pewnie kolejny raz zmniejszono dopłaty państwowe. Albo też ktoś zgarnął stanowczo za dużo do swojej kieszeni i teraz cierpiała cała okolica. Dzień jak co dzień. Dobrze, że mieszkał na trzydziestym trzecim piętrze. Wolał nie myśleć, jak to czuć na parterze i niższych kondygnacjach. Choć tam zapewne było chłodniej, zwłaszcza że budynek stał pomiędzy dwiema drogami szybkiego ruchu, które, poprowadzone na wysokości dziesiątego pietra, zacieniały cały dół. Z drugiej strony powyżej czterdziestego piętra było jeszcze goręcej. Trochę czasu zajęło mu znalezienie czynnej windy. Spośród sześciu sprawne

były tylko trzy. Ot, kolejny przykład defraudowania funduszu remontowego. Na szczęście nie musiał zjeżdżać aż na parter, tylko skorzystał z wejścia połączonego z przystankami szybkiej komunikacji miejskiej. Całkiem na dole było stanowczo zbyt niebezpiecznie i śmierdząco. Zazdrościł mieszkańcom bloków, przy których główne arterie miasta ulokowano na poziomie gruntu. Tam można było po prostu wyjść i pójść gdzieś piechotą. Tutaj co najwyżej dostać nożem pod żebra w cieniach filarów estakad. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie miał potrzeby, by schodzić aż tak nisko. Nie w tej dzielnicy.

Autobus przyjechał po pięciu minutach i jak zwykle był prawie pełny. Adam ledwie wepchnął się do środka, pomiędzy odór spoconych ciał. Nigdy nie lubił godzin szczytu. Dobrze przynajmniej, że pracował blisko domu, więc jakoś wytrzymał tę trzydziestominutową podróż. Jeśli miałby robotę w sąsiedniej dzielnicy, musiałyby się chyba przeprowadzić. Nie dość że sam dojazd zajmowałby mu ponad godzinę, to jeszcze ciągle kontrole osobiste na bramkach granicznych trwały wiecznie. Teraz jechał z twarzą przyciśniętą do szyby drzwi, a przed oczami przewijają się szare, brudne, śmierdzące megamiasto. Mijali co chwila wielki ekran, na którym ładne panie reklamowały najnowszą modę, a mocno zbudowani panowie – najnowszy hit Sieci, czyli wirtualną grę *Arena*. Wyświetlane na ekranie pojedyncze słowa: „krew”, „mord”, „siła”, „moc”, przeplatane były ilustrującymi je scenami. Adam zobaczył nawet sekundową przebitkę ze swojej

ostatniej walki. Rozpoznał się po charakterystycznej sylwetce swojego Gladiatora oraz jego hełmie – całkiem zwykłym i prostym, a nie tak fantastycznym, jakie mieli inni. „No tak... Pewnie było w regulaminie. Wykorzystanie wideo z walk. Ech, mniejsza. Kto by tam czytał te tysiąc stron, na które trzeba wyrazić zgodę, żeby się zapisać”, myślał. „Wszyscy teraz będą kojarzyć Agiusza, ale mnie nie. Ciekawe, czemu nie promuje się operatorów, tylko awatary”. Wysiadł po sześciu przystankach i od razu skierował się do korporacyjnego wieżowca. Stal i szkło błyszczały z daleka, kontrastując z szarymi dzielnicami mieszkalnymi.

– Hej, Adam. Słyszałeś o nowych walkach? – dobiegł go z tyłu znajomy głos Radka.

– Jakich znowu walkach? – spytał, odwracając głowę.

– No, chodzi o *Arenę*. Od rana leci na wszystkich kanałach reklamowych. Mają stworzyć nową ligę, taką profesjonalną. Nie śledzisz info? Rekrutują właśnie najlepszych z najlepszych.

– Jakoś nie. Nie mam ochoty śledzić wszystkich reklam i ogłoszeń – odrzekł i przewrócił oczami. – Nie mam do tego głowy.

Szybkim krokiem przeszli przez wielki hol i stanęli przy wejściu do szybkich wind. Musieli odczekać parę minut w kolejce i zeskanować identyfikatory, zanim zajęli miejsce w środku i ruszyli na czterdzieste piętro. Nawet w windzie towarzyszyły im na ekranach skróty wiadomości, zapowiedzi reportaży z kolejnych akcji policyjnych przeciwko anarchistom i terrorystom oraz nowe reklamy *Areny*.

– Widzimy się na przerwie – rzucił Adam, gdy tylko drzwi się otworzyły, po czym ruszył w stronę swojego miejsca pracy. Siadł na plastikowym krześle otoczony ściankami boksu i włączył terminal. Pół godziny zajęło mu przejrzanie nowych wiadomości od współpracowników, dekretowanych dyspozycji od przełożonych oraz oczywiście mnóstwa reklam i obowiązkowych newsletterów z najnowszymi sukcesami wymiaru sprawiedliwości i zagrożeniami związanymi z coraz nowszymi grupami antyrządowymi, chcącymi zniszczyć społeczny ład. Westchnął, przewijając każdego maila i klikając znacznik, że zapoznał się z treścią. Dopiero teraz mógł zająć się właściwą pracą, czyli analizami ryzyka dla polis medycznych. Po kilkuset stronach danych wstał, przeciągnął się i poszedł do pokoju socjalnego. Na miejscu był już Radek.

– No, cześć – odezwał się, mieszając łyżką w kubku z substytutem kawy. – Zająłem ci miejsce – wskazał na wolne krzesło.

– Dzięki – odparł Adam, nalewając ciemny napój do jednego z biurowych kubków.

– Nie rozumiem, czemu nie przyniosłeś własnego. Nie boisz się brać do ust tego publicznego? Albo co gorsza zostawiać na nim swoje DNA i odciski palców? Ja bym tak nie mógł.

– Bezpieczeństwo bezpieczeństwem, ale nie przesadzasz czasem z tą paranoją?

– Wierz mi, tu nie ma żadnej przesady. Ja mam swój kubek, wyłączyłem w nim transponder i przynajmniej bezstresowo delektuję się tym... – zawiesił głos – wspaniałym smakiem.



Adam przewrócił oczami, ale zanim zdołał odpowiedzieć, usłyszał głośny pisk na korytarzu. Odwrócił się w stronę drzwi. Wbiegła przez nie asystentka kierownika. Nawet ładna blondyna. Za nią jeszcze dwie dziewczyny z kadr.

– Wzięli moją twarz – krzyknęła asystentka, ściskając w dłoniach smartfon.

– Mariolę z księgowości też – wpadła jej w słowo koleżanka, po czym też zaczęła przeglądać swój telefon.

Adam skrzywił się i spojrzał pytająco na Radka.

– Oglądasz za mało reklam. Ta nowa liga *Areny* ma mieć poprawioną grafikę. Na całym świecie szukają modelek i modeli, którzy zgodzą się zeskanować swoje twarze i umieścić je na widowni. Ponoć tak jest taniej niż projektować twarze grafiką komputerową. Obraz będzie jak żyleta z dokładnością do każdej zmarszczki. Choć pewnie wybierają ludzi bez zmarszczek. Szkoda, że nie robią tego z awatarami. Moim zdaniem tutaj pogarszają sprawę, bo najnowsze informacje mówią o całej gamie hełmów. Ponoć ma to być utrudnienie dla operatorów, że niby ograniczą widoczność i urealnią wrażenia. – Radek wzruszył ramionami. – Mnie to i tak nie czeka, bo jestem za słaby, ale może ciebie powołają.

– Wątpię.

– Ty zawsze we wszystko wątpisz, a potem wszystko ci wychodzi. Ale mniejsza z tym – ściszył głos. – Mam teraz ciekawą partię materiałów do analizy i ciekawe podejrzenia. Oczywiście nie mogę ci o tym powiedzieć, bo to tajne przez poufne.

– Tak, wiem, jak większość teorii.

Adam dopił resztkę i wrócił do biurka. Pozostała część dnia minęła jak zwykle, czyli nudno. Wracając do domu, zrobił jeszcze szybkie zakupy. Dopiero w mieszkaniu, gdy siadł na kanapie, spojrzał na smartfon. Tam czekała na niego niespodzianka. Dostał maila z zaproszeniem do nowej ligi *Areny*.

Wypił tylko szklankę wody i na tablecie szybko zalogował się na konto. Zaproszenie czekało wraz z nowym awatarem oraz terminem pierwszej walki – wieczorem za trzy dni.

– Jakby nie pasował im mój wcześniejszy – mruknął pod nosem. – *Arena* jak zwykle narzuca swoje warunki. Dobrze, że przynajmniej celę i imię mi zostawili. – Spojrzał w stronę uchylonych drzwi i ciemnego pokoju. Włączył opcję automatycznej aktualizacji *Areny* i poszedł podgrzać zupkę w mikrofalach. Zjadł szybko, zajął stanowisko i zaczął podłączać kontrolery gry. Zamknął oczy.

Otwieram oczy. Wita mnie znajomy półmrok mojej celi. Jak dobrze znów tu być. Jednak czuję pewną różnicę. Ruchy mam teraz bardziej płynne, a wzrok ostrzejszy. Widzę wszystkie szczegóły. Nawet pojedyncze włoski na rękach. Nawet blizny. Ślady różnych cięć. Wcześniej ich nie zauważałem, a teraz wszystko wydaje się takie realne. Biorę miecz ze stojaka i próbuję parę ćwiczebnych cięć. Cudownie. Można wręcz poczuć podmuch wiatru na skórze i dźwięk rozcinanego powietrza.

Do najbliższej walki mam jeszcze kilka dni, idę więc na plac treningowy. Muszę w pełni się wczuć i siebie kontrolować. Wśród różnych manekinów do ćwiczeń zauważam innych. Biegają, tną mieczami worki słomy, miażdżą toporami drewniane kołki. Wokół, na małej widowni widzę innych; obserwują nasze zmagania. Ich twarze są naprawdę wyraźne. Nagle słyszę poruszenie przy jednej z bram. Spoglądam na wielką tablicę nad nią. Zaczęła się pierwsza walka tej ligi. Napis głosi „Vertoniks przeciw Urłowi”. Idę za wszystkimi, żeby przyjrzeć się moim potencjalnym przeciwnikom. Nie zdołałam już przedostać się na widownię, ale podchodzę do małego okienka tuż nad powierzchnią areny. Na szczęście tylko ja wpadłam na ten pomysł. Obejrzę walkę sam i w spokoju.

Rozpoczyna się właśnie drugie starcie. Większy Vertoniks szarżuje na drobnego Urła. Ten jednak robi szybki wypad w bok, podcina nogi przeciwnika i pcha go na ziemię. Olbrzym pada na brzuch tuż obok mojego okienka. Mniejszy gladiator szybko go dopada i wbija miecz między łopatki. Oglądam to zafascynowany wielością szczegółów. Pył podnosi się w górę. Z rany w plecach tryska krew, a na ustach powalonego pojawia się czerwona piana. Przyglądam się dokładniej. Na piachu widzę nawet stróżkę moczu. Widocznie konający popuścił. Niesamowite. Wszystko jest takie prawdziwe. Szkoda tylko, że po paru minutach walka się kończy. Wracam do swojej celi i kładę się na pryczy. Zamykam oczy.

Adam otworzył oczy i odłączył się od aparatury. „Niesamowite”, pomyślał, przecierając twarz. Poszedł się umyć i szybko do łóżka. Po dobrze przespanej nocy, wstał wcześniej i ruszył do pracy. Przed godziną szczytu podróż minęła szybko, sprawnie i wygodnie. Tylko w windzie zaczepiła go Mariola.

– A co ty tak z rana?

– Czasem tak mam – wzruszył ramionami. – Chcę trochę nadrobić, bo niedługo czekają mnie zarwane noce.

– Pewnie *Arena*? – uśmiechnęła się promiennie. – Kupili moją twarz. Jutro idę na skanowanie.

– I dobrze. Ładna jesteś – wzruszył ramionami i wysiadł z windy na swoim piętrze. Udał się w stronę swojego stanowiska. Rozsiadł się w krześle i chcąc włączyć terminal, zawiesił nagle rękę w powietrzu. Na biurku stał kubek. Nie jego. Prywatny kubek Radka.

– Zapomniał go z roboty? – mruknął Adam. – Dziwne.

Wziął go do ręki i zaczął oglądać. Od spodu przyczepiona była taśmą klejącą karta pamięci oraz karteczka z odręcznym napisem: „Wszystko o *Arenie*. To jest prawdziwe. Jeżeli to czytasz, lepiej już o mnie zapomnij”.



Maciej Ochenkowski

## CELA

– Pete, słyszałeś muzykę?

– Śniło ci się.

Peter Straub, *Upiorna Opowieść*

Siedziałem na kamieniu, wpatrując się w góry, których pasmo przysłaniało horyzont. Linie rysujące kształty potężnych grzbietów prowadziły daleko, wzdłuż doliny. Nad szczytami wisiał wielki, jaskrawy pas nieba oraz słońce, któremu zawdzięczałem ten niezwykły widok. Kolory zachodu nie przypominały przyjemnego ognika świateł, ani pastorału podczas wigilii Wielkiej Nocy. Wyglądały jak ogień piekielny, i chaotyczny, choć czysty, i może to ta czystość była w nim szczególna. Bo ogień nie jest czysty, tylko zabrudzony czarnym dymem. Widziałem festiwal kolorów, ciągle zmieniający barwy, balansujący między czerwienią, pomarańczą i żółcią. Nie mogłem zdecydować, który kolor

dominuje, tak szybko ich proporcje się zmieniały. Powiniennem być zachwycony, a co uderzające, przerażały mnie zmienność i nieokreśloność. Ta burza chaosu... miałem wrażenie, że pokazuje mi czego nie rozumiem i być może to niezrozumienie stanowiło wiadomość. To był jedyny raz, gdy niecierpliwie oczekiwałem, aż słońce zajdzie.

Nareszcie słońce zaszło, a burza ognia szalejąca nad horyzontem powoli się uspokoiła, otaczając dolinę świetlistym pomarańczem. Patrzyłem ze wzniesienia, łatwo obejmując całe otoczenie wzrokiem. Wszędzie widziałem lasy, w których rosły pinie i cisy. Za nimi kryło się kilka ledwie dostrzegalnych dzięki kościelnym wieżom wiosek i drobna rzeka, prawie wyschnięta o tej porze roku. Niepokój milknął, a ja wchłaniałem w siebie atmosferę wieczoru.

– Każdy tak patrzy za pierwszym razem.

Odwróciłem się. Za mną stał zakonnik w białym habicie. Ręce trzymał za plecami. Na jego łysej głowie mieniły się zmarszczki wypalone w słońcu. Miał łagodne, niebieskie oczy. I te oczy wpatrywały się we mnie przenikliwie, aż się wzdrygnąłem. Odniosłem wrażenie, że ten człowiek doskonale wie, dlaczego tu przyjechałem. A przyjechałem tu po to, by oderwać się od dotychczasowego życia i uwolnić się od rozpacz.

– Tak myślałem – odparłem spokojnie i wstałem. – Brat zaprowadzi mnie do celi?

Kiwnął głową, a ja podniosłem z ziemi podróżną torbę. Prowadził mnie na szczyt wzniesienia, na którym stał ukryty

wśród skał gotycki klasztor. Droga była kręta i otoczona ogromnymi kamieniami. Nad naszymi głowami ujrzałem parę jastrzębi wypatrującą królików schowanych pod piniami i krzakami. Żółta, miękka ziemia utrudniała marsz i przez chwilę porównywałem nasz spacer do drogi krzyżowej. Pielgrzymował z nami szept wiatru, który co chwilę do nas wracał, niczym pies, któremu rzuca się kawałek martwego drewna.

– Jutro organizujemy święto z tutejszymi mieszkańcami – odezwał się brat. – Możesz w nim uczestniczyć, jeśli zechcesz, a nawet pomóc w organizacji. Po wspólnej mszy rozpalimy ognisko, później będzie czas na zabawy i obiad. Od dziewiątej rano razem z braćmi będziemy ustawiać stoły i ławki. Wtedy już możesz do nas dołączyć.

– Dobrze, chociaż jestem zmęczony po podróży...

– Wiem, wiem – dodał szybko i niecierpliwie brat.

Weszliśmy do kamiennego klasztoru, zbudowanego na planie kwadratu. Stał na szczycie wzniesienia, wśród przypominających fantastyczne istoty wielkich skał. Budynki klasztoru wkomponowano w ich układ. Grube mury przedzielono gdzieniegdzie małymi okiennicami i drzwiami do cel zakonnych. Korytarze zapewniały przyjemny chłód. W głębi słyszeliśmy tylko stukot butów o kamienną posadzkę. Brat uprzedził moje pytanie o tę ciszę:

– Teraz wszyscy modlą się w swoich celach.

Minęliśmy kilka korytarzy i weszliśmy na wewnętrzny plac z kamiennym krzyżem. Za dnia ów dziedziniec byłby pięknie



oświetlony dzięki licznym, szerokim szczelinom, ale o tej porze kłębiły się tu cienie ogromnych głazów, przerywane gdzieniegdzie wąskimi promieniami światła. Przeszliśmy go w poprzek i weszliśmy do podłużnego budynku po drugiej stronie wzniesienia. Skręciliśmy w prawo i zatrzymaliśmy się przed drewnianymi drzwiami. Brat otworzył je mosiężnym kluczem i podał mi go.

– Dziękuję – powiedziałem.

Przez chwilę wydawało mi się, że zakonnik chce jeszcze coś powiedzieć, ale po chwili się rozmyślił. Kiwnął głową i pożegnał się krótko:

– Do jutra.

Kiedy odchodził, pchnąłem drzwi celi. Była większa, niż się spodziewałem. Na wybielonej ścianie wisiał krzyż, a dębowe łóżko stało równoległe do okna, za którym rozciągał się widok na pasmo gór. Naprzeciw łóżka znajdowała się stara szafka. Im dłużej przyglądałem się temu pomieszczeniu, tym bardziej nie chciałem w nim zostać. Odwróciłem się i pobiegłem za zakonnikiem, złapałem go na placu przy krzyżu.

– Czy mógłbym – tu zrobiłem miejsce na zadyszkę – zmienić celę?

Na jego twarzy dostrzegłem nieobecne wcześniej znużenie. Oczy miał zamknięte. Odpowiedział mi słowami, które z początku wydały mi się urojeniem. Wypowiedział je zdawkowo, obojętnie, brakowało w nich wcześniejszego ciepła.

– To nic nie da.

– Co? – wyrwało mi się.

Ostatnie promienie słońca opuściły dziedziniec. Nadchodził nocny chłód, a z miejsca pełnego piękna, plac zmienił się w ciemny dziedziniec koszmarnego zamczyska. Wysokie skały przypominały teraz kamiennych strażników, a klasztorne wieże więzienne strażnice. Twarz brata prawie całkowicie zniknęła w tej ciemności, widziałem tylko surowe rysy jego głowy. Ujrzałem jeszcze, jak wzruszył ramionami i beznamiętnie westchnął:

– Dobrze, zmienimy celę.

I ruszyliśmy w stronę klasztoru. Zaprowadził mnie do celi po drugiej stronie korytarza, z oknem wychodzącym na plac. Brat wyjął inny mosiężny klucz i przekręcił go w zamku. Zabrał klucz od poprzedniej celi i zostawił mnie pod nieotwartymi drzwiami, tym razem nie mówiąc ani słowa. Pchnąłem stare drzwi i ponownie stanąłem w progu. Cella miała takie same bielone ściany, takie samo dębowe łóżko i taką samą drewnianą szafkę jak poprzednia. Różniły się tylko dwie rzeczy. W tej celi na ścianie wisiała rzeźba Maryi, a nie krzyż, a przez okno nie widziałem gór, tylko dziedziniec.

Niechęć pozostawała niezmienna. Teraz może jeszcze bardziej szydercza, usatysfakcjonowana uświadomieniem mi, że nie ucieknę przed nieuniknionym. Uznałem, że najlepszym ratunkiem będzie sen i położyłem się.

Powoli zapadłem w świat urojeń, wpadając w odmęty najdziwniejszych wyobrażeń i wspomnień ostatnich miesięcy. Wśród

dzikości snów zdarzały się momenty pozornie racjonalne, jednak wciąż zbyt zawiłe. Pamiętam, że wędrowałem wśród mgieł, opowiadających życiowe prawdy, że wciąż schodziłem po niewidzialnych stopniach w ogromnej przestrzeni, gdzie czułem na sobie czyjś wzrok.

Po tych szaleństwach nagle wszystko ucichło. Otaczała mnie ciemność, a przede mną, stała Anna, odwrócona tyłem. Skandowała coś do siebie, pochylając się rytmicznie do przodu i do tyłu. Obszedłem ją dookoła; spojrzała na mnie. Jej wykrzywiona twarz wyrażała odrazę. Roztrzęsionym głosem wypowiedziała słowa, które pamiętałem nazbyt dobrze:

– Dziecko z adopcji...? Nie rozśmieszaj mnie, Filip. Dlaczego wcześniej mi o tym nie mówiłeś?

Z moich ust sama wyszła odpowiedź:

– Nie znałem wyników badań. Nie mogłem wiedzieć, że nie mogę...

Skrzyżowała ręce.

– Ale wiedziałeś, że istnieje takie ryzyko. Mówisz, że nie ma różnicy między dzieckiem a dzieckiem, ale to tylko twój punkt widzenia. Punkt widzenia twojej głupiej wiary. Wiesz, w co ja wierzę? W przetrwanie. Może jednak powinnam była wtedy umówić się z Rafałem...

Zniknęła, przede mną stał Rafał, mój brat. Mój brat. Jego wielka postura jak zwykle robiła wrażenie. Trzymał dłonie za głową.

– Wiem stary, nie widzieliśmy się już sześć lat, ale od kiedy byliście z Anną w związku, jakoś nie miałem ochoty wracać do kraju. Teraz powtórzę to, co sam mi kiedyś powiedziałeś: „Wybacz... wygrał lepszy”. Nie martw się, za jakiś czas wyjedziemy za granicę.

Rafał zniknął wraz z ciemnością. Byłem teraz w parku. Siedziałem na ławce i patrzyłem na staw. W pewnym momencie po drugiej stronie zauważyłem Rafała i Annę. Obejmowali się.

Obraz rozmył się po chwili, a ja zobaczyłem samego siebie w biurze. Pracownicy nawet na mnie nie spojłali. Nikt się nie odzywał i nie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

Znowu pojawiłem się wśród ciemności, a przede mną stała Kasia. Jej błękitne oczy patrzyły ukosem w dal. Kręciła głową z niecierpliwością.

– Nie, nie umówię się z tobą. Chcesz tylko zapełnić pustkę po Annie. Nie mam zamiaru spłaszcać się do roli łatki na twoje braki. Trzeba było myśleć sześć lat temu.

Milczałem.

Stałem przy szpitalnym łóżku. Leżał w nim mężczyzna patrzący na mnie z żalem.

– Cóż... umieram ze świadomością, że przynajmniej jeden z was założy rodzinę. Jak nie ty, to Rafał.

– Ciepłe łzy płynęły mi po policzkach.

Szpital zniknął, a ja znowu skakałem po wiszących stopniach otoczony bezmiarem przestrzeni. Świadomość bycia obserwo-

wanym towarzyszyła mi cały czas. Nie mogłem mojego obserwatora dostrzec, a jednak odczuwałem jego obecność. Schodziłem, aż stopnie się skończyły, a ja runąłem w czarną pustkę. Po długim locie uderzyłem w coś, co przypominało dno morza albo pustynię. Moje nogi ugrzęzły w piasku po kolana i nie mogłem ich wyrwać. Słyszałem chrapliwe odgłosy czegoś ogromnego. Wiedziałem, że jest wielkie, bo od dźwięku samego oddechu drżały mi płuca, a piasek na dnie wzdrygał się. To coś zbliżało się w moją stronę i zacząłem rozróżniać kontury wielkiego węża; jednak ów wielki potwór nie zdołał wpełznąć do kręgu, w którym się znajdowałem. Weszła tam za to radośnie mała dziewczynka.

– Tato! Tato!

Skakała dookoła mnie ze śmiechem.

– Nie jestem twoim tatą. Tylko wujkiem.

Nie wiem, dlaczego pomyślałem, że jest dzieckiem Rafała i Anny, przecież oni byli ze sobą tak krótko. Dziewczynka, słysząc te słowa, przystanęła.

– Nieprawda. Jesteś moim tatą, a ja jestem twoim dzieckiem.

Piasek nagle zaczął mnie wciągać i z krzykiem zanurzyłem się w wydmach. Kiedy tylko zamknął się nade mną, otworzyłem oczy w klasztornej celi. Wokół panowała ciemność, ale mogłem dojrzeć w niej drewnianą Maryję, patrzącą na mnie ze smutkiem. Jednak oprócz niej obserwowało mnie coś jeszcze. Coś, co długim palcem delikatnie dotykało mojej duszy lub umysłu, tyl-

ko po to, żeby mnie rozdrażnić. Mimo to spróbowałem ponownie zasnąć, ale okazało się to niemożliwe. Po jakimś czasie zorientowałem się, że dzieje się tu coś dziwnego. Leżałem na plecach, a jednocześnie, jak gdybym poruszał się po całym łóżku. Nie był to żaden z naturalnych ludzkich ruchów, coś zupełnie sztucznego, jakbym był marionetką sterowaną przez kuglarza. Moje ciało leżało spokojnie, ale duch coraz energiczniej miotał się po łóżku. Cały wysiłek przelałem w uzasadnienie tego fenomenu:

„To tylko stres. Uświadom sobie, że to się dzieje tylko w twojej głowie”.

Leżenie stało się nieznośne, nie miałem jednak sił wstać z łóżka, ani nawet się ruszyć. Wciąż próbowałem się uspokoić, ale w ogóle mi to nie wychodziło. W końcu zacząłem się modlić, liczyłem na to, że w powtarzaniu modłów odnajdę spokój i w końcu zasnę.

„Zdrowaś Mario”...

Wielokrotnie przerywałem modlitwy i do nich wracałem, ponieważ traciłem skupienie. Ciało i umysł bolały mnie tak bardzo, że po policzkach spływały mi łzy. Kiedy łzy zaczęły mi kapać z policzka na łóżko, ujrzałem kogoś stojącego u moich nóg. Właściwie widziałem tylko jego cień. Z pewnością stał tam jakiś człowiek. Nazwałem go „Człowiekiem w ciemności”. Patrzył na mnie, jego wzrok pełen był chorobliwej pasji.

„Ciebie nie ma... Ty nie istniejesz”...

I nagle otworzyłem oczy w klasztornej celi. Nie było „Człowieka w ciemności” ani rzucania mną po łóżku. Noc się kończy-

ła. Bolała mnie głowa i byłem zmęczony jak po bitwie. Wiedziałem, że w pewnym sensie zostałem uwolniony.

Postanowiłem pójść na spacer, przebrałem się i wyszedłem na dziedziniec. Poranne, mgliste promienie przedzierały się przez szczeliny w skałach. Pośrodku dziedzińca, przy kamiennym krzyżu, siedział zakonnik w kapturze. W dłoni trzymał różaniec. Razem z krzyżem oświetlały ich barwy poranka. Podszedłem do niego, a brat, słysząc moje kroki, odwrócił się. Usiadłem obok, a on zsunął z głowy kaptur. Na jego twarzy dostrzegłem uśmiech.

– Jak się czujesz? – zapytał wprost.

– Lepiej – odparłem. – Ten różaniec... To w mojej intencji?

Kiwnął głową.

– Za każdego, kto przychodzi tutaj w poszukiwaniu ciszy, zawsze modlę się przez pierwszą noc. Możesz zostać tu tak długo, jak potrzebujesz, ale jeśli zostaniesz tu na bardzo długo, wlepimy ci jakieś obowiązki...

Dalej go nie słyszałem. Wzruszyły mnie jego słowa. Za mnie? Ktoś modlił za mnie?! Całą noc! I spoglądałem na ten szczery uśmiech, na te niebieskie oczy, za którymi stał ocean spokoju i dobroci, i nie mogłem uwierzyć, że ktoś taki istnieje. A jednak siedział tuż obok mnie. Usta zadrżały i zacząłem płakać.





Igor Pieńkowski

# KROCZĄCA PRZEZ ŚWIATY

Migający wir zamknął się za jej plecami, gdy stanęła pośrodku pokoju. Jedynym źródłem światła była zamknięta w szklanym żyrandolu, magiczna kula. Rzucana przez nią niebieska poświata przypominała morską toń. Pełną pustki.

Kobieta chwyciła z biurka malutką butelkę z bladoczerwoną zawartością. Umieściła ją w saszetce przymocowanej do pasa, zapobiegawczo dociskając korek. Błat tonący w stosach ksiąg i pergaminów zignorowała.

Portal otworzyła w tym samym miejscu, w którym przed chwilą zniknął. Dźwięk zasysanego powietrza przeszył ciszę i migoczący kształt pojawił się ponownie. W majaczącym obrazie dostrzec można było bezlistne drzewo, którego gałęzie co jakiś czas brutalnie smagał wiatr.

– Pani Wilma?

Niemal podskoczyła na dźwięk znajomego głosu. W kącie pokoju, na wąskim łóżku poruszył się jakiś kształt.

– Dziecko – odetchnęła z ulgą, łapiąc się za serce – Nie strasz mnie tak.

– Przepraszam. – Burza kasztanowych włosów podniosła się z łóżka. Spod tej zawieruchy spoglądały zamglone oczy. – Nie chciałam, ja...

– Co ty tu robisz? – spytała, zdając sobie sprawę ze swego nieprzyjemnego tonu.

– Ja... – zaczęła niepewnie dziewczyna. W jej głosie słychać było troskę. – Czekałam na panią...

Pusta nastała po tym cisza. Obejmowała sobą wszystko. Nawet niebieskie światło, w którym skąpany był pokój, wydawało się zaledwie skorupą, iluzją, której wcale nie ma. Jedyne dwa spojrzenia wydawały się żyć. I w błękitnym blasku milczały.

– Musi pani iść?

Kobieta nie odpowiedziała. Na jej twarzy zagościł tylko smutny uśmiech. W oku pojawił się błysk. I znów nastała cisza. Lecz tym razem była inna. Coś w niej łączyło dwie dusze. Coś w niej żyło i mówiło na tyle wyraźnie, że nie potrzeba było żadnych słów.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem. Pełnym smutku i zrozumienia. Przez chwilę jeszcze trwały złączone w niemej rozmowie. Wreszcie portal zniknął, a środek pokoju ponownie opustoszał.

Magiczny wir zaprowadził ją na niewielką leśną polanę.

Niegdyś wydawała się większa. Teraz zapewne czas przesunął jej granicę, a las odbierał tereny, który niegdyś utracił. Cały obszar porośnięty był bujną trawą i sięgającymi bioder łodygami kwiatów. Na środku tej przestrzeni zieleń była niższa i rzadsza.

Tuż obok tego miejsca rosło stare drzewo. Lata wzrostu miało już dawno za sobą. Teraz stało na wpół martwe, czekając, aż czas wyniszczy je całkowicie i powali na ziemię, pokazując swą wyższość. Pomimo nieuchronnie zbliżającej się śmierci, wciąż walczyło. Nagie gałęzie nie poddawały się brutalnym atakom wiatru i mimo głośnych trzasków, trwały niezłamane.

Oczy Wilmy rozbłysły na widok starego przyjaciela. Szybkim krokiem zbliżyła się do pnia, szeleszcząc wśród powodzi traw. Ostrożnie, z wielką czułością musnęła splekaną korę. Ten dotyk wywołał nieśmiały uśmiech na jej twarzy.

Cofnęła się parę kroków i sięgnęła do pasa. Ręka delikatnie zanurzyła się w lnianej sakiewce, wyciągając garść niebieskiego pyłu. W dotyku przypominał aksamit, a zapach – zapach był czymś niezwykłym. Ponoć dla każdego ten pył pachniał inaczej, jednak wszyscy opisywali go jednym słowem. Zawsze tym samym.

„Wspomnienia”, pomyślała Wilma, rozkoszując się dawno niesmakowanym aromatem. Oczy zalsniły, a kąciki ust opadły wymownie. Ścisnęła pył w dłoni i zamknęła oczy.

Obraz. Skupiła się na obrazie. Kurczowo sięgała w głąb pamięci, próbując przywołać go jak najdokładniej. Musi wyglądać tak jak wtedy. Tak jak go zapamiętała. To samo drzewo, tylko jeszcze żyjące. Ta sama polana, tylko pełna życia. To samo miejsce, tylko tym razem nie była sama.

Otworzyła oczy i rozwarła dłoni. Delikatnie zdmuchnęła pył z ręki. Błękit zawirował w powietrzu. Po chwili, zamiast rozwiać się w przestrzeni, stworzył lśniący strumień. Jego kolor przybrał barwę złota, by zaraz rozpląnąć się, zmieniając wszystko.

Znowu był dzień. Drzewo rozkwitło. W jednej chwili pojaśniało i obrosło zielenią. Promienie słońca przebijały przez jego potężną koronę. Gdzieś w tyle słychać było pusty dźwięk uderzanego drewna i okrzyki ćwiczeń. Na niskiej trawie, oparty o potężny pień, siedział młody mężczyzna.

Nie miał więcej niż dwadzieścia wiosen. Na jego twarzy malował się grymas bólu. Jedna ręka bezlitośnie tarłosiła gniazdo ciemnych włosów, druga spoczywała na drewnianym mieczu leżącym obok. Obie od łokci aż po przeguby obwiązane były bandażami. Zza pasa wystawał długi, drewniany przedmiot.

Serce kobiety zamarło. Wyglądał tak jak wtedy.

– Coś za jeden? – usłyszała znajomy głos. Swoją własny.

Mężczyzna podniósł głowę i przeniknął ją wzrokiem. Przez chwilę myślała, że naprawdę ją widzi, że ich spojrzenia naprawdę się spotkały.

– Jak zobaczą, że ze mną gadasz, przestaną cię....

– Nie dbam o to – odparł jej głos. Wydawało się, że wydobywa się z niej, ale kobieta nie otwierała ust. – Po co ci te bandaże?

Mężczyzna ponownie spojrział w jej stronę. Jednak jego wzrok zastygł gdzieś niżej. Przykucnęła. Jego wielkie czarne oczy znowu spoglądały na nią. Zastygłaby tak na wieki, gdyby nie to, że przeniósł uwagę w stronę ręki ułożonej na drewnianej broni. Po chwili subtelnie cofnął kończynę. Jego twarz wykrzywił nieśmiały uśmiech... i złapał ją za serce.

– To długa historia – odezwał się w końcu, śmiejąc się nieznacznie. – Ale to dlatego nie umiem walczyć – dodał zaraz.

– Skoro nie umiesz walczyć, co tu w ogóle robisz? – Jej głos też przepełniony był niewinnym i szczerym śmiechem.

Uśmiech mężczyzny rozkwitł jeszcze bardziej. Ich spojrzenia znów się spotkały. Chociaż tak tylko się jej zdawało.

– To jest jeszcze dłuższa historia – odparł, wpatrując się w nią.

– Na szczęście mam sporo czasu.

Na moment zapadła cisza.

– Nazywam się Finn – zaczął wreszcie, wyciągając rękę.

– Wilma – odparł jej głos.

Obraz znikł nagle, rozplywając się w strumieniu złocistego pyłu, niknącego po chwili w mroku nocy niczym rój gasnących świetlików. Ponownie znajdowała się pod martwym drzewem, kucając w wysokim gąszczu, z ręką wyciągniętą tak, by dotknąć czegoś, czego nie ma. Wstała szybko, otrzepując nerwowo spodnie. Salwa mrugnięć pomogła jej się opanować. Wzięła głę-

boki oddech i otworzyła kolejny portal. Granatowy wir pojawił się z charakterystycznym świstem. Z twarzą pełną bólu Wilma pożegnała się ze starym druhem i przeszła na drugą stronę.

Dolina kołysała się. Ciągący od pobliskiego wzgórza wiatr niczym potężna fala zalewał morze traw lśniących w nikłym blasku księżyca. Gdzieś na horyzoncie majaczył las – ciemna plama, ledwie widoczna na tle nocnego nieba. Niedaleko znajdowała się wąska rzeka, lecz kobieta nie była w stanie jej wypatrzyć. Nie zważając na to, ruszyła szybkim krokiem w stronę wzgórza.

Wspinaczka nie zajęła długo. Łagodne zbocze i niewielka wysokość sprawiły, że nie była również męcząca. Jedyłą trudność powodował wiatr, momentami aż huczący w uszach. Już w trakcie wędrówki kobiety, ciemny kształt, którego nie było widać u podnóża, wyłonił się zza wzgórza, coraz bardziej przypominając to, czym naprawdę był. Na płaskim szczycie stał kamienny obelisk.

Nie zajmował środka przestrzeni, raczej jego kraniec. Pokornie wznosił się w otoczeniu mniejszych głazów, usadowionych przed nim niczym gromadka wnucząt przed babką, czekających na kolejną historię, o której będą mogli śnić, gdy pójdą spać. Ta opowieść miała być jednak zupełnie inna.

Wilma przywitała się ze staruszką, gładząc jej zimne oblicze. Pełne bólu, smutku i imion. Dotknęła napisów, nie przyglądając im się. Nie musiały. I tak dobrze znała ich treść. Machnęła głową, by odpędzić niepotrzebne myśli.

Cofnęła się parę kroków, zrównując się z pierwszym wystającym kamieniem, i sięgnęła do sakwy. Oburącz. Dłonie ledwo wydostały się z objęć materiału. Ciężar przy pasie gwałtownie zmaleł. Teraz był ledwie zauważalny.

Kopczyk niebieskiego pyłu niemal wysypywał się z koszyka jej dłoni. Wiatr ochoczo i obficie ograbiał go z każdym podmuchem. Kobieta szybko zamknęła oczy i przywołała obraz. Najdokładniej jak potrafiła. Wzgórza zapełnione nie tylko trawą. Niebo o zachodzie słońca, lśniące pomarańczem i czerwienią. I ziemię. Ziemię przesiąkniętą krwią.

Gwałtownie otworzyła oczy i potężnym dmuchnięciem wprawiła w ruch błękitny proszek. Ten wzbił się w niebo, nie zważając na gwałtowny wiatr, i rozbłysł złościście. Jego pokłady zaczęły tworzyć łańcuchy o różnych kształtach, rozchodzące się na wszystkie strony. Złoto tańczyło w powietrzu, rozświetlając noc.

Każda wiązka pyłu wydawała się żyć własnym życiem. Jedna przemierzała przestrzeń, skacząc dookoła niczym zwinny zając, inna delikatnie i ostrożnie, jakby na motyliach skrzydłach. Były takie, co pędziły chaotycznie niczym rój dzikich pszczoł, i takie, które wiły się jak węże. Wszystkie nurkowały i wznosiły się, tworząc niesamowity spektakl światel. Wreszcie spotkały się w jednym miejscu, by rozplynać się w mroku. Świat znowu się zmienił.

Okrzyki bitwy rozchodziły się po całej dolinie i wzgórzu. Po kamiennym monolicie nie było już śladu. Teraz na jego miejscu

czesze wojowników ścierały się ze sobą, wyglądając niczym zalewające się nawzajem fale. Co chwila ktoś padał, aby nigdy nie powstać i dołączyć do tych, którzy już nasycali ziemię własną krwią. Wówczas jego miejsce zajmował następny wojownik, gotowy na podobną śmierć.

Na Wilmę zaszarżował jeden z walczących. Odruchowo chciała się odsunąć, ale zatrzymała się. Pozwoliła, aby męczyzna przebiegł przez nią niczym duch. Jego postać zamigotała lekko, a po chwili wróciła do normalnej formy, i odbiegła w stronę najbliższego napastnika.

Wśród ścierającej się stali, odgłosów roztrzaskiwanego drewna i niezrozumiałych rozkazów dało się wychwycić dziwną melodię. Piękną i czystą. Flet rozbrzmiewał coraz głośniej, a przy jego dźwiękach na tle pomarańczowego nieba ukazywał się dziwny kształt. Niebieskie linie, lśniące niczym błyskawice, zaczęły łączyć się w powietrzu, tworząc obraz skrzydlatej istoty, podobnej do człowieka.

Gdy ów anioł podniósł dłoń, bronie zaczęła wypadać z rąk wojowników. Ci w zdumieniu i wściekłości rozglądali się dookoła, szukając wyjaśnienia, aż natrafili na postać lewitującą ponad ich głowami.

Walka ustała. Niektórzy próbowali podnieść wytrącony wcześniej oręż, ale dotknąwszy go, szybko cofali dłonie, jak gdyby oparzeni. Oba wojska cofnęły się nieco, zostawiając pośrodku wolny przesmyk usłany trupami.



– Ludzie, zaprzestańcie walki – potężny głos skrzydlatego posłańca rozbrzmiał jak gdyby w umyśle Wilmy. Wiedziała że nie tylko w jej. – Zobaczcie, do czego to prowadzi – dodał, wskazując na powalone wokoło ciała.

Żołnierze zaczęli rozglądać się po polu bitwy. Na ich twarzach nie było jednak widać przekonania. Dla większości z nich był to normalny widok.

Melodia dalej roznosiła się po całej przestrzeni i wyrwała Wilmę z odrętwienia. Ujrzała wówczas wielką maszynę stojącą w dolinie. Co ona tam robiła? Na otwartej przestrzeni nie używało się takich sprzętów.

Tymczasem katapulta obróciła się w stronę wzgórza, idealnie naprzeciwko świetlistej istoty.

Żołnierze zaczęli ją naciągać.

– Dam wam wzrok i serce zdolne poznać i zrozumieć wagę tego, co czynicie – odezwał się ponownie anioł, wznosząc znów dłoń. Dźwięk fletu niespodziewanie rozszedł się po całym polu bitwy aż po najdalsze jego krańce.

Jego smutny ton chwycił za serca i wywoływał żal. Ludzie zaczęli płakać. Całe zastępy płakały. Wojownicy, którzy przed chwilą bez zastanowienia mordowali się nawzajem, padali na ziemię, a łzy zmywały z ich twarzy pył i krew.

Wilma wiedziała dlaczego. Pamiętała dobrze tamten moment. Starsza wersja jej, ta, która była częścią tego wspomnienia, też siedziała skulona, rzewnie łkając gdzieś niedaleko.

Moc anioła sprawiła, że wszyscy zaczęli widzieć jasno swoje dotychczasowe życie, momenty, w których doświadczali życzliwości, ciepła i miłości. Gdy zaś spoglądali na innych ludzi, dostrzegali też ich życia jakby te były wypisane na ich twarzach. Wszystkie te momenty, w których jako mali chłopcy słuchali kołysanek swoich mam, wszystkie dobre uczucia i ciężkie chwile, których doświadczyli. I wszystkie powody, dla których chcieli żyć.

Anioł z twarzą pełną radosnego smutku spoglądał na swoje dzieło z góry, unosząc się nad jedyną stojącą postacią. Kobieta biegiem puściła się w jej stronę. Ruchy wydawały się dziwnie spowolnione, choć przemieszczała się szybko, przecinając sylwetki żołnierzy, powodując ich migotanie. Dotarła na miejsce w momencie, w którym wojownicy zaczęli wstawać i przeproszać się nawzajem, ściskając się przy tym jak bracia. Kiedy stanęła przed flecistą jej serce zamarło.

Jego twarz była biała jak śnieg, a zmarszczki na czole wskazywały na wysiłek, który wkładał w swoją grę. Mimo to wyglądał na szczęśliwego, a jego hebanowe oczy wydawały się pełne życia. Na twarzy Wilmy na moment pojawił się prawdziwy uśmiech. A potem charakterystyczny świst przeszył powietrze.

– Nie... – wyrwało się z ust kobiety – Nie!

Kiedy rzuciła się w stronę mężczyzny, powtarzała te słowo niczym mantrę. Nie przestała, próbując bezskutecznie ruszyć go z miejsca. Dłonie przenikały przez jego ciało na wylot.

Żołnierze zaczęli coś krzyczeć, a wszyscy zgromadzeni nieopodal rzucili się do ucieczki. Tylko ona i wciąż grający flecista trwali w tym samym miejscu. Po twarzy Wilmy zaczęły sączyć się długo hamowane łzy.

– Proszę! – zaczęła krzyczeć. – Niech ktoś mu pomoże!

Nikt nie słyszał jej prośb. Nikt też nie pomógł.

Nad ich głowami pojawił się gigantyczny cień. Zanim obraz zniknął, zdążyła ostatni raz spojrzeć w szczęśliwe czarne oczy. Zabandażowane rękę odjęły wreszcie flet od ust. Muzyka przestała płynąć. Mężczyzna spojrzał nad siebie, uświadamiając sobie swój los. W ostatniej chwili na jego twarzy zagościł uśmiech. Prawdziwie szczery i równie smutny.

Wilma klęczała pod monolitem. Złoty pył zdążył już rozpląnąć się w ciemności. Wszystko wróciło do normy. Z wolna, pociągając nosem, kobieta uniosła głowę. I... załkała ponownie.

Nie pożegnawszy się z tym miejscem, przeszła przez portal, zostawiając na ziemi smak słonych łez.

Na górskim szczycie wiatr smagał niczym bicz. Niebo było zachmurzone, a gęsta mgła otaczała całą okolicę, tak więc wszystko oprócz nierównego, zaśnieżonego wierzchu wydawało się zlewać w jedną ciemną plamę. Dopiero gdy Wilma postawiła obie stopy na zlodowaciałej powierzchni, dotarł do niej huk wiatru. I przenikliwe zimno tego miejsca.

Drżącymi rękoma sięgnęła po fiolkę schowaną w saszetce. Odkorkowała buteleczkę i wypła czerwoną zawartość. Gęsty płyn, choć nieprzyjemny w smaku, miło rozgrzał jej gardło. Po chwili mróz przestał jej dokuczać. Tylko mokre policzki nadal szczypały.

Zdjęła niepotrzebny już płaszcz i wyścieliła nim spore wklęsnięcie w terenie. Usiadła na tym posłaniu, chowając się częściowo przed zawieruchą. Sięgnęła ponownie po sakiewkę i ostrożnie opróżniła jej zawartość. Nieduży kopczyk z łatwością zmieścił się w jednej dłoni. Zamknęła oczy i przywołała obraz.

Niebo pełne gwiazd. Szczyt porośnięty rzadkimi kwiatami. I coś jeszcze. A raczej ktoś.

Tym razem nie otworzyła oczu, gdy wydmuchiwała błękitny proszek w powietrze. Zamiast tego wyciągnęła się na płaszczu i czekała.

– Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknego nieba – znajomy głos poruszył jej serce.

Otworzyła oczy. Miliony srebrnych punkcików lśniło na granatowym firmamencie. Im dłużej się w ten obraz wpatrywało, tym bardziej wydawało się, że z każdą chwilą niebo odkrywa kolejną przepiękną tajemnicę.

Wilma ułożyła się wygodniej i głęboko wciągnęła powietrze. Niewielka kropelka spłynęła jej po policzku.

– Ja też – odparła. Jej prawdziwy głos złączył się z tym ze wspomnienia.

Przez dłuższą chwilę leżeli zasluchani w swoje ciężkie oddechy i szumiący wiatr. Kobieta obróciła się na bok, spoglądając w stronę mężczyzny.

Tylko koniuszek spiczastego nosa wystawał spod jego dużego kaptura. Od stóp po głowę opatulony był grubą warstwą skóry.

– Wiesz – zaczął, wyciągając ręce spod głowy. – Mógłbym pozostać w tym miejscu. – Przerwał na chwilę zaabsorbowany wspaniałością nieba. – I już zawsze oglądać... to wszystko... – rękoma w grubych rękawicach spróbował objąć całą nieskończoność gwiazd, po czym dodał nieśmiało – ...z tobą.

Wilma ponownie obróciła się na plecy. Kolejna łza spłynęła po jej policzku.

– Ja też... – odparła znów, wpatrując się z utęsknieniem w nocne niebo. Miliony gwiazd tworzyły najpiękniejsze przedstawienie, jakie widziała w życiu. – ...ja też.



Jessika Skuza

# SERPENTYNA

Ususzone, zgrabione kupy miele w maszynce do mięsa pożyczonej od teściowej, niby że do maku. Makowca też upiekła, dla niepoznaki. Z powstałej celulozy robi papier czerpany. Mąż nie zauważa smrodu. Je makowca. Nocą ona składa i zszywa arkusze papieru. Zin. Wypisuje na nim kolejno na stronach:

*Nie.*

*Tęsknię.*

*Szkodzisz mi.*

*Dupy grabią kupy.*

*Gdy mówię Tobie nie, mówię sobie tak.*

*Nie.*

Dokleja do stron strzępy z ubrań lalki.

Dziadek był rzeźnikiem. Syn szlachty utracone bogactwa odzyskiwał w postaci krwistego mięsa. Należało do niego. Kiedyś jemu się chciało, a żonie nie. Poszedł do kuchni po solniczkę. Wrócił, złapał babcię i unosząc solniczkę nad jej głowę, wrzeszczał, że jak mu nie da, to jej soli do oczu nasypie.

Lalki nie mają mięsa. Nikt ich nie posoli. Lalki mają ubranka. Im więcej, tym lepiej. Jej mama posiada dużo szaf. Raz w miesiącu chodzi na doczepianie rzęs. Ostrzykuje usta. Dawniej uwielbiała stroić swoją małą dziewczynkę w czerwień i wzorki, fryzować grzywkę, kucyki, wybierać fioletowe okulary, zapinać szeleczki, guziczki. Przebrana dziewczynka nie lubiła spojrzeń. Nie wiedziała, jak się zachować.

– Co to jest „getta”? – pytała, podskakując na chodniku tak, że koty chowały się do piwnic.

– Getto. Jak urośniesz trochę, to ci wytłumaczę.

„Na Bohaterów Getta” brzmi jej wtedy dumnie, pasuje do wysokich kamienic. Nie wyczuwa w nazwie okrucieństwa i rozpacz. W mieszkaniu wynosi po cichu butelkę na balkon i stawia za zbieraniną donic. Zło w dziadku bierze się z tego przezroczyściego szkła. Schowa, nie będzie zła, pozostanie dobro. Zamiast tego jest wrzask.

Wrzeszcz Górny.



Już bez dziadka. Jest tu przejazdem, po warsztatach z czerpania papieru. Prawe, drewniane skrzydło drzwi wejściowych kamienicy odstaje niedomknięte. Na klatce schodowej odmalowano ściany, zniknęło szablonowe hasło: „Nie zaśmiecaj klatki!”. Jest jasno i czysto. Wchodzi na ostatnie piętro po białych schodach. Wodzi dłonią po żłobieniu poręczy. Drewno jest miękkie, przytula się chłodem do wnętrza dłoni, ciągnie się z góry i kunsztownie skręca w załamaniach schodów. Miała zakaz zjeżdżania. A gdyby tak teraz zjechać? Słyszy skrzypnięcie drzwi za sobą.

– A pani do kogoś? – Mężczyzna w białej koszulce z napisem „Nie” stoi w drzwiach.

Chce odpowiedzieć: Do siebie.

Mogłaby powiedzieć: Do wspomnień.

Mówi: – Do Krawczyków. – Choć żaden Krawczyk już nie mieszka w tej kamienicy.

– Krawczyk już tu nie mieszka. Pani z rodziny?

– Wnuczka.

– Pani do wspomnień? Proszę wejść.

...

– Musi być samotnie mieszkać w miejscu, do którego się nie należy.

– Słucham?

– To z książki. Chris Kraus.

– Aaa – zastanawia się ku swojemu zdumieniu.

Zanim zdąży pomyśleć, czuje maź w ustach, połyka mimowolnie, odruchowo, on jeszcze tryska, teraz już na jej szyję. Wciąż trzyma go mocno i masuje dłońmi w rytm ostatnich spazmów, pojękuje jeszcze, potem wtula w nią, chwilę zawisa na niej w objęciu i kładzie na plecach. W niedowierzającym żołądku ona czuje trzęsącą się gulę, jak gdyby gula chciała uciec. Nie ma dokąd i nie ma jak uciec. Nie będzie wymiotować. Chce to mieć w sobie. Część jego. Wie, że będzie go czuła do końca dnia, pod żebrami, w swoim centrum. Obcego. Najbliżej.

Dostaje od niego podarunek. Trzyma miękką paczuszkę w dłoniach. Rozrywa folię i wyłuskuje z papieru – lalkę szmacianą! Grzywka, kucyki, sukienka czerwona i okulary okrągłe. Mała ona.

– Lubisz seks analny? – Siedzi przed nim na fotelu i trzyma książkę, którą jej poleca. Nie jest nią zainteresowana, przyszła, by pokazać, co ogoliła rano, ciasną dziurkę. Oczyszczyła ją palcem wilgotnym i tłustym od olejku kokosowego. Miękką sprężystość jej skóry skrywa drumłą rozkoszy, w napięciu czeka.

– Nie wiem – zaskoczony unosi i opuszcza ramiona.

– Nie wiesz, czy lubisz? Musisz wiedzieć. – szepcze mu do ucha, blisko.

– Nie wiem. Rozluźnij się. – Chwyta ją za ramiona i przyciska do oparcia krzesła. Rozpina guziki jej džinsów i unosi koszulę.

Zsuwa majtki w dół i ściąga z czoła okulary na nos, by odczytać ukośny napis z białej skóry.

– „Little trouble girl”?

– To z piosenki. – Nuci niepewnym głosem: – „If you want me to, I will be the one, that is always good, and you’ll love me too, but you’ll never know, what I feel inside, that I’m really bad, little trouble girl”.

On całuje jej tatuaż, naciąga z powrotem na wzgórek łonowy białe, bawełniane majtki. Wzdycha, zapina jej spodnie, wstaje i oznajmia, że muszą już iść, jest umówiony na spotkanie. Ona, wychodząc, zawiesza wzrok na zdjęciu. Wtulony w żonę, na tle wieżyczek zamku Disneyland. On.

Na wsi przed domem kupy. Kozioł śpiewnie lamentuje. Ziemia obeschła po zimowych roztopach, bobki łatwo jest zgrabić. Racice zdrowiej stąpają po czystym. Czy to przypadek, że kupa rymuje się z „dupa”? Robi przerwę i sprawdza w telefonie. W językach łużyckich „kupa” oznacza wyspę. Słowo „dupa” ma dwa znaczenia. „Zagłębienie, dziura” oraz „chrzcielnica”. Katolickie *sacrum* nie wyklucza seksualnego *profanum*. Dupa na Kupie. Chrzcielnica na Wyspie. Grabi kupy w kopczyk. Robi grabkami przedziałek w górcie odchodów.

Kreteński wąż Kallikratis. Przemierzają go w dwie godziny w górę. Ściany koloru piasku ciągnące się do nieba, wypatrują na nich żywych punkcików kóz, przemieszczających się

urywkowo, kontemplujących każdy krok, jakby nosiły w sobie pierwsze i ostatnie loty swoich towarzyszek. Białe góry zamykają ich w szczelinie. Na dnie roztrzaskane kozy. Po dwugodzinnej wędrówce z dziczy wąwozu wychodzą na równą asfaltową drogę z żółtymi pasami. Byliny rosną w kolczastych kępach, krągłych jak nastroszone jemioly. Z braku drzew postanowiły oblepiać ziemię, usianą bobkami zwierząt. Rozbrzmiewa wibrujący krzyk i rozdzwoniony bieg kóz i owiec. Przecinają im drogę, wiodącą przez górską wioskę. Przy budynkach zagrody. Podchodzi do siatki ogrodzenia, za którą są matki z młodymi. Kozy nerwowo kręcą głowami, odwracają wzrok, uciekają. Z płotem graniczy płaskie poletko. Podąża w głąb za kozami, wyciąga rękę i wabi je głosem, potyka się. W suchych badyłach ugoru rozsiane szkielety kóz. Odpuszcza. Kozy matki, siostry, córki, synowie zbijają się w gromadkę z dala od niej.

W restauracyjnej karcie: kozina młoda, żeberka kozie, jagnięcina. Gruby Grek na tarasie zjada hałdę mięsa z półmiska, który zajmuje połowę stolika. Jaka ilość koziego mięsa utuczyła mu twarde kałdun? Fava. Właścicielka przyrządziła dla nich zalaną domową oliwą pastę z grochu, do tego przynosi cieniutkie chrupiące plastry smażonego bakłazana. Wracają na słoneczny, brzęczący asfalt. Ostry zapach tymianku i odchodów miesza się ze świeżością górskiego powietrza. Serpentina. Daleko pod nimi linia brzegu morza, niewyraźny horyzont. Ona zatrzymuje widoki w telefonie. On idzie sam naprzód. A gdyby go tak zasko-

czyła? Wyprzedziła skrótem? Na prawo od asfaltu widzi wydeptaną przez kozy ścieżkę w dół. Mogłaby zejść po ścianie, dróżka nie jest stroma. Sprawdza stopą i dłonią kamienie wystające ze skarpy. Odwraca się i schodzi. Wisi wczepiona nogami i dłońmi na ściankę górskiej serpentyny, rozkraczona jak zabawkowy pajac. Dziesięć metrów w dół asfalt i upadłe kamienie. Jest stromo, pionowo. Nie zejdzie, spadnie i roztrzaska się, jak te kozy. Wróci do góry, szybko, zanim on zejdzie z zakrętu na prostą, zanim zdoła ją zobaczyć. Po którym kamieniu zeszła, gdzie złapać? Ze strachu oblepia ją lekkość; wstrzymuje oddech i podciąga się, ręce i nogi same czepiają się twardych brył w ścianie. Wdrapuje się. Śmierć z niej spada. Zostawia ją na skraju drogi i truchtem rusza, żeby go dogonić. Nic nie zauważył.

Sama w domu. Sadza sobie lalkę na kolanach, patrzy jej w twarz, wyobraża sobie siebie jako malutką dziewczynkę, zadaje pytania z podręcznika od niego: „Czemu jesteś smutna, kochana? Czego ci potrzeba? Może cię przytulić?”. – Czuje się głupio. Gada z lalką! Odkłada ją do szuflady. Wieczorem siada jak zwykle na poduszce, nastawia dzwonek. Skupia się na oddechu. Niecierpliwość wdrapuje się po jej grzbiecie. Zmusza się do pozostania w siadzie. Myśli zwalniają. Nie cichną. I staje jej przed oczami dziewczynka w kucykach. Czuje ją w sobie, jakby ją objęła.

Śni się jej prawa dłoń. Jak cieniutka rękawiczka gumowa, skóra przezroczysta, w połowie wypełniona żółtymi odchodami, w połowie żuczkami żywymi. Otwiera membranę dłoni i wytrząsa z niej czarne żuki. Na wietrze otwierają swoje pancerze i lekkie skrzydła, odlatują.

Mdła sól do kąpieli, wyczarowała kolor różowy w wodzie. Ona posoli jej lawendowy zapach. Sika. Skrzep krwi menstruacyjnej nurkuje teraz w klarownej wodzie. Wyciąga korek i kieruje dłonią czerwoną rybkę do otworu. Znika. Gula jej dawno minęła. Odwraca się w wannie. Galareta trzęsie się wokół pępka, wprawiając wodę w maleńkie fale, gdy szlocha. Przyjadła sobie ten brzuszny tłuszcz.

W telefonie wiadomość: „Na Bohaterów?”

Wysła listem zin. Na Bohaterów.

Czarne żuczki ażurową chmurą lecą pod oborę. Pieśń starego kozła ucichła. Zdechł. Leży na króciutkiej trawie, usianej ostatnimi bobkami, w chłodnym słońcu poranka, jakby spał. Bok brzucha uwypuklony, głowa odchylona, rogi dotykają niemal pleców, czarna kreska oka nieruchomo wbita w przestrzeń. Skanuje bez skutku przelatujące żuczki.

Do dołka z kozłem wrzuca odartą szmacianą lalkę i sama zasypuje dół.



Magdalena Zarzycka

# CZTERY RAZY MATKA

## Przedszkole

Dzieci są w salach, a na korytarzu jest zupełnie cicho. Tu nikogo to nie dziwi, w końcu przedszkole Montessori. Ciszę mącą tylko ja. Idę ciężko, bo w chuście niosę półroczną Amelię. Spieszę się, nauczycielka wezwała mnie do wymiotującego Mikołaja. Odnajduję go w biurze, na podłodze, leży jakby nieprzytomny. Ale jest na materacu, przykryty kocem, więc zaopiekowany. Tylko dlaczego w biurze?

Pani z administracji przerywa pracę przy komputerze i spokojnie tłumaczy sytuację. Przy materacu stoi miska, pusta, ale w powietrzu unosi się niezbywalny zapach wymiocin. Mikołaj



jest blady. Śpi. Odpoczywa pomiędzy kolejnymi falami mdłości – nie skończyło się na jednorazowej akcji, o której nauczycielka mówiła przez telefon.

Rozwiązuję chustę, ostrożnie wyjmuję Amelkę i podaję ją pani Basi. Waham się, ale mam nadzieję, że córka tego nie wyczuje. Jednak wybuch płaczem. Mikołaj zrywa się z materaca.

– Mamooo, nieeee – wyje, a ja, znając ten ton głosu, szybko podsuwam miskę. Niestety nie wszystko udaje się złapać.

– Mamy jeszcze ostatni komplet ubrań – rzuca pani Basia pocieszająco. Amelia płacze coraz głośniejsze. Mimo zamieszania wiem, co robić. Siadam z córką na materacu, przystawiam ją do piersi, a drugą ręką obejmuję syna.

– Zaraz zadzwonimy po tatę i wrócimy do domu – mówię. – Nie martwcie się.

Do biura wkracza Dyrektorka. Nie jest zadowolona, mir Chatki Montessori został zakłócony. Bardzo to widać, chociaż stara się okazać współczucie.

– Kochani – zaczyna jak to ona – czy jesteście już gotowi?

– Na co? – pytam, bo nie rozumiem jeszcze, o co chodzi.

– Na powrót do domu, oczywiście. Mikołaj długo na panią czekał, a jeśli to wirus... Sama pani rozumie, muszę dbać o inne dzieci i dlatego proszę, abyście jak najszybciej opuścili przedszkole.

– Yyyy... – słyszę znajomy jęk syna, ale jestem zbyt osłupiała, by podsunąć miskę. Po chwili czuję ciepły płyn spływający po

ramieniu i dopiero zapach uświadamia mi, że sama potrzebuję ubrania na zmianę.

Nienawidzę tego miejsca.

### **Plac zabaw**

Jest luty i świeci słońce. Ludzie na osiedlu pozdrawiają się uprzejmie, dzieci biegają radośnie, a psy nie zostawiają przyczajonych niespodzianek na placu zabaw. Wczorajszy dzień spędziłam na czyszczeniu kuchni po eksperymentach dzieci. Dzisiejszy jawi się jako wyjątkowo przyjemny. Niespodziewanie przyjemny, biorąc pod uwagę to, ile godzin przespałam w nocy.

– Dlaczego oczekujesz od dnia, że będzie nieudany? – pyta moja sąsiadka, matka trójki.

„Jak ty możesz się spodziewać czegokolwiek innego?”, myślę, ale nie mówię tego na głos, bo szczerość wcale nie popłaca. Same z nią kłopoty. Powiesz komuś, żeby przestał gadać, bo cię denerwuje, to od razu jest mu przykro. Chyba, że jest twoim trzyletnim dzieckiem. Trzyletnim dzieciom rzadko jest przykro, kiedy słyszą takie bezsensowne rzeczy z ust rodziców. Nie pojmują po prostu, że to w ogóle może się zdarzyć, przekonane, iż rodzice uwielbiają słuchać ich anielskiego głosu.

– Po prostu jest to dla mnie miłą niespodzianka – odpowiadam w rzeczywistości. W głębi duszy spodziewam się jednak, że

jakieś niewielkie wydarzenie zniszczy piękno tego wyjątkowego dnia. Znikąd pojawią się chmury, zakryją słońce, zerwie się wiatr, dzieci rozplaczą, koła w wózku przebiją, a na koniec spali się cały obiad. No dobrze, to byłoby kilka niewielkich wydarzeń. Ale dzisiaj nic takiego się nie stanie, cały dzień będzie spokojny, pozbawiony nieoczekiwanych zwrotów akcji i problemów. Jedyne taki dzień w nadchodzących tygodniach, a może nawet miesiącach. Gdybym o tym wiedziała, być może zdecydowałabym cieszyć się każdą chwilą. Lub nie – bo takie rzeczy nie przychodzą mi łatwo. Zamartwianie się jest moją naturalną reakcją na wszystko.

Przyglądam się radosnej sąsiadce, która beztrąsko bawi się w berka z czwórką dzieci. Śmiga między drabinkami, huśtawkami i zjeżdżalnią. Czy z tego naprawdę można czerpać przyjemność? Nie gardzę ludźmi, którzy lubią bawić się z maluchami. Wręcz przeciwnie, bardzo im zazdroszczę. Jednak cały czas podejrzewam, że inni po prostu boją się przyznać, jak bardzo tego nienawidzą. Jest dla mnie nie do pojęcia, że można spędzać całe dnie z własnymi dziećmi i czuć satysfakcję. Zrezygnowałam z pomocy przedszkola, żłobka czy opiekunek, bo kto inny opiekuje się moimi potworami lepiej niż ja sama. Jednak każdy dzień wydaje się bitwą, a cała operacja „wychowanie” – wieloletnią wojną. Czasami zimną wojną.

Amelia przewraca się na ziemię, patrząc na mnie z oburzeniem. Dopiero niedawno nauczyła się chodzić.

– O, bam! – mówię radośnie, w nadziei, że moja córka nie zanie sie się płaczem. Amelia oczywiście odpowiada uśmiechem. Jest to przecież jedyny w swoim rodzaju dzień bez trosk. Rozglądam się za synem i odnajduję go w piaskownicy. Spoglądam na zegarek. Minęły prawie dwie godziny, odkąd wyszliśmy na spacer, co bardzo mnie cieszy. Nawet amerykańscy więźniowie spędzają na świeżym powietrzu przynajmniej dwie godziny dziennie, a moje dzieci nie mogą mieć przecież gorzej niż amerykańscy więźniowie.

– Mikołaj, zaraz wracamy do domu! – wołam w stronę piaskownicy.

– Nie-eee, bo ja się jeszcze bawię – odpowiada. Nie jestem zaskoczona, ale – o dziwo – zupełnie mi to nie przeszkadza. Jest luty i świeci słońce.

## **Foodtruck**

W piątek powinno być już z górki. Pod koniec tygodnia dodatkowe utrudnienia nie mają prawa się pojawiać, bo żaden normalny rodzic nie byłby w stanie tego wytrzymać. Ale natura nie orientuje się w dniach tygodnia i stąd ulewa w trakcie naszej wycieczki z rowerami. Właśnie „wycieczki z rowerami”, bo taka wyprawa jest zupełnie inna od zwykłej „wycieczki rowerowej”. Podstawowa różnica polega na tym, że rowery ma się ze sobą,

ale niekoniecznie się na nich jedzie. Ponadto, korzystając z powszechnie przyjętej opcji, można by przyspieszyć pedałowanie i wrócić do domu, zanim człowiek zupełnie przemoknie. Z kolei wersja z biegówką i trójkołowcem wymaga podwójnego wózka służącego za muła, a także pchacza owego majestatycznego środka transportu. W takim układzie ewakuacja jest po prostu niemożliwa. Tak oto wylądowaliśmy pod budą zwaną „Kurnikiem Martina”. Ja chowam się pod małym daszkiem, który tylko częściowo ratuje mnie przed zimnym, jesiennym deszczem. Moje potomstwo skacze w tym czasie po okolicznych kałużach. Na wózek nie starczyło już schronienia, więc obserwuję tymczasem, jak na siedziskach powstają dwa małe bajorka. Musimy wyglądać osobliwie, ale i tak nikt nie zwraca na nas uwagi. Wszyscy zajęci są uciekaniem przed ulewą, a właściciel Kurnika nie ma w zwyczaju niczemu się dziwić.

– Nie biegaj, bo się spocisz! – słyszę i przez chwilę myślę, że te słowa skierowane są do pędzącego przez błoto Mikołaja. Ale nie, ktoś marnuje dzieciństwo innemu dziecku. I dobrze, bo w taki dzień wyzywanie mnie na wychowawczy pojedynek byłoby zwykłym samobójstwem.

– Głoooodny – oznajmia dobitnie mój syn, podchodząc do budy.

– Wiem, zaraz będzie kurczak – odpowiadam przez zaciśnięte zęby, trzęsąc się z zimna. – A nie zmarzłeś?

– Nie. Teraz jeść!

– A masz bardzo mokro w butach?

– Nie.

– Ani trochę? – pytam podejrzliwe, bo chodzenie po kałużach w trampkach może mieć tylko jeden skutek.

– No, trochę mam mokre... Mam bardzo mokre. Ale wyschną... – Szczerzy się niepewnie, sprawdzając, czy czeka go reprimenda, ale mnie jest już wszystko jedno. Bardziej drażni mnie to, że Martin w pierwszej kolejności zajął się kurczakiem, a nie moją kawą. – O-o – mówi Mikołaj. – Amelka siedzi w kałuży...

Podążając za jego wzrokiem, rzeczywiście dostrzegam moją córkę usadowioną w wodzie i całkowicie pochłoniętą mokrymi eksperymentami. Mam tylko wątpliwość, czy istotnie określenie „kałuża” w pełni oddaje powagę sytuacji. Amelia tapła się w głębokim błocie. Nagle przypominam sobie moje wspaniałe kremowe jeansy z czasów studenckich. Kupiłam je w Pull&Bear za ostatnie pieniądze pod koniec miesiąca. Pewnego wiosennego popołudnia, kiedy miałam je na sobie zaledwie drugi raz, też zaskoczyła mnie ulewa. A może dobrze wiedziałam, że będzie padało, ale i tak chciałam się wystroić? Na pewno wyglądałam zabójczo, kiedy przejeżdżający samochód ochlapał mnie błotem z góry na dół. Już nigdy nie udało mi się ich doprać. A wtedy jeszcze używałam tych nieekologicznych, niszczących wszelki brud wynałazków.

Wracam do rzeczywistości i analizuję szybko, ile razy Amelia miała już na sobie te białe spodenki, w których tak radośnie się

teraz bawi. Z niejaką ulgą stwierdzam, że wystarczająco dużo i będę mogła po prostu je wyrzucić.

– Kurczak i potrojne espresso! – krzyczy Martin, który naprawdę ma na imię Piotr i nikt nie wie, skąd wzięła się nazwa jego budy, ale każdy podejrzewa, że ma to coś wspólnego z *Grą o tron*.

Po chwili Mikołaj wbija małe, zachłanne ząbki w soczystego kurczaka z rożna. Gratuluję sobie w myślach zdrowego obiadu. Rozkoszując się smakiem kawy (bo buda budą, ale naprawdę jest to najlepsza kawa w okolicy), spoglądam jeszcze raz na Amelię, całkowicie mokrą i brudną, która w największym skupieniu układa sobie na nogach błotną górę.

– Mamo! – krzyczy Mikołaj. – Ale fajna wyprawa, cooo?

## Kuchnia

Ben i Rick przemawiają do mnie z ekranu laptopa. Chcą, żebym poszła za ciosem i dodała kolejne funkcjonalności w mojej pierwszej grze 3D.

– Jak się to gotuje? – przerywa mi Mateusz, trzymając w ręce opakowanie komosy ryżowej.

– Jak ryż – odpowiadam.

Zaczyna się lekcja o dodawaniu partikli.

– Trzeba też płukać? – pyta znowu mój kochany mąż.

– Robi się dokładnie tak jak ryż.

Moja rakietka ma trzy rodzaje zdarzeń z wizualnymi efektami: odpalenie silnika, sukces i śmierć. Ben tłumaczy, jak wywołać partikle z kodu.

– A ile tego chcesz?

– Tyle samo co ryżu.

– Trzy czwarte szklanki? Dwie trzecie? Cztery ósme?

– Trzy czwarte.

Zabieram się za efekty do lotu zakończonego sukcesem, gdy słyszę:

– Ale chcesz takie siedem ósmych czy sześć ósmych?

– Chcę trzy czwarte, czyli sześć ósmych.

– Ok, rozumiem. Bo myślałem, że może chcesz bardziej siedemdziesiąt trzy procent.

– To bardziej siedemdziesiąt sześć.

– Ok.

Moja rakietka wreszcie mieni się kolorowo, kiedy dolatuje do zielonej platformy.

– A to też trzeba płukać?

– Już ci mówiłam, że tak. Ugotuj dokładnie tak jak ryż.

– Myślałem, że jak mówisz, że tak jak ryż, to chodzi ci o to, że w wodzie gotować jak ryż. A nie, że na przykład na patelni.

Lekcja z partikłami prawie skończona. Pozostaje dodać efekty na okoliczność śmierci. Przechodzę do dokumentu z kodem, kiedy za ścianą słyszę kwilenie Amelki. Po chwili zmienia się w płacz.

– Mamo! Mamo! – krzyczy moja dwuletnia córka.

Śmierć będzie musiała zaczekać.





Zofia Żebrowska

# DWA ŚWIATY

Jestem w szpitalu. Moja sytuacja wymaga specjalistycznej pomocy.

Wierzę w siłę lekarzy, czekam na ich profesjonalne działanie. Teraz mam optymistyczne podejście do życia, choć ostatnio częściej byłam pesymistką. Mam mieć poważną operację. Będzie ją wykonywał dobry lekarz.

Jest drugi dzień Świąt Wielkanocnych, a ja leżę. Trzeba wszystko przygotować na jutro do operacji. Dokładniejsze, ważniejsze badania zrobiono już wcześniej: tomograf komputerowy, rezonans magnetyczny, rtg serca, badanie krwi itp.

Dostałam skierowanie do pokoju numer 6. Najpierw przebieram się w piżamę. Za oknem mały budynek z czerwonej cegły – za-

bytkowa kaplica? Pięknie wygląda w słońcu. Na nim siedzi stado gołębi. Na horyzoncie Kościół Najświętszej Marii Panny – mariacki – największy w Europie kościół ceglany. Z tej odległości ma trzy centymetry wysokości i półtora szerokości. Z okna widać też zabytkowe kamieniczki – stary Gdańsk.

Łózkami na kółkach przywieziono panie po zabiegach. Najpierw panią z łóżka pod oknem, potem drugą, z łóżka spod drzwi. Obie śpią. Nie wiem, jak długo będą w szpitalu. Minęła godzina, przed chwilą był obchód, rozmowa z lekarzem, wskazania, wszystko jest OK.

Jeszcze dotrzeć do snu, kolacja nie jest na dziś przewidziana. Pani bliskie w nieszczęściu śpią. Nie mam z kim rozmawiać, więc rozmyślam i obserwuję, co dzieje się na oddziale. Ciągle ktoś chodzi, rozmawia, słychać też nietypowe hałasy.

Za oknem na horyzoncie stary Gdańsk, a także światła nowego centrum handlowego. Po prawej Biskupia Górka. Zasypiam. Jutro będą nowe decyzje.

Niedaleko szpitala, w którym teraz jestem, mieszkałam w dzieciństwie, zaraz po urodzeniu w szpitalu na Klinicznej. Lubię tamtędy chodzić, przyglądać się starym domom. Czasem robię zdjęcia na klatkach schodowych. Dobranoc, idę spać, jutro „atrakcje łózkowe”. Powiedzmy, i miejmy nadzieję.

Dzień drugi. Ranek. Już po obchodzie. Za godzinę operacja... Już minęła godzina. Jadę na wózku po korytarzach szpitala. Widzę

sufit z rurami owiniętymi srebrnym materiałem. Jak długo się jedzie na tę salę! Winda zepsuta, to pewnie dlatego. No, wreszcie jesteście. Oglądam salę operacyjną. Nie widać nikogo poza pielęgniarką. Mówi coś do mnie, ale już jej nie słyszę, nie widzę.

Obudziłam się na oddziale szpitalnym. Czekam na przyjście lekarza. Zasnęłam – pewnie z nudów. Pojawił się wreszcie.

– Jak się pani czuje? – spytał jak zwykle,

– Dobrze – odpowiedziałam mu jak zwykle.

Natychmiast odszedł. „Też mi wizyta”, pomyślałam i przykryłam się lepiej kołdrą.

Wyobraźnię wybiegłam poza budynek. „W dziwnym miejscu ten szpital”, myślę. Patrząc z góry, obserwowałam go, stojącego pomiędzy gmachami sądu i szpitala wojewódzkiego. Stał dokładnie na torach tramwajowych, a był na tyle wąski, że mieścił się bez trudu, lekko tylko wystając poza tory. Okno mojego pokoju było na końcu węższej części budynku, ale nie widziałam tramwajów czy samochodów, tylko niebo. „Pewnie zmienili coś w zabudowie tej części miasta”, pomyślałam.

Chmury przesuwają się szybko. Z przyjemnością widziałam coraz to nowe chmurowe obrazki. Najwięcej było smoków, potem przyfruwały koty, psy, delfiny, prosiaki, ludzkie postacie: aktorzy, pisarze z różnych czasów i części świata. Ten niezwykły pochód trwał bardzo długo, a był tak interesujący, że nie byłam ani zmęczona, ani znudzona.

Do pokoju ciągle ktoś zaglądał. Drzwi były stale uchylone.

Wreszcie noc. Myślałam, że będzie spokój, ale wiecznie się coś działo, ktoś chodził, ludzie nosili dziwne rzeczy. Wreszcie do mnie dotarło: remontują! Muszą skończyć jakieś zmiany remontowe w szpitalu w określonym terminie, dlatego krążą po nocy. Nagle zobaczyłam lekarza z obchodu. „A co on tu robi?”, pomyślałam. „Może kieruje pracami?”.

W końcu zasnęłam. W nocy się przebudziłam. Czułam, że jestem przywiązana do łóżka, ale to był tylko cewnik. Postanowiłam go z siebie zdjąć. Dokładnie mówiąc: odciąć nożyczkami z brzucha. „Zajmuje tylko kilka centymetrów skóry, więc co za problem”, pomyślałam. Spytałam sasiadkę, czy ma nożyczki. Nie miała, ale też nie podobał się jej mój pomysł. To chyba ona wezwała pielęgniarkę, która przybiegła zaraz i zaczęła mnie odwozić od moich zamiarów. Chyba mi czymś groziła. Zasnęłam, ale nie na długo, bo znów znalazłam się w innym świecie: poza łóżkiem, na długim korytarzu. Udało mi się odczepić od łóżka. Wymyśliłam sobie, że pójde na dwór. Niestety, znów ktoś mnie doprowadził do łóżka. Zasnęłam.

Rano wróciłam do rzeczywistości. Długo byłam w innym świecie, uśpiona. Kroplówki i co kilkanaście minut pielęgniarka, pytająca, jak się czuję. Powoli odzyskiwałam przytomność umysłu. Rozmawiałam z pielęgniarką – powiedziała, że moje zachowanie jest normalne po narkozie, choć nienormalne tak w ogóle. Mimo to przeprosiłam ją za moją złość.

Pojawiło się coś nowego. Zaczęły się we mnie mikropadaczkowe procesy zemdlenia, a przy wolnym powrocie do świadomości, brak pojmowania rzeczywistości. Ponieważ zdarzało się to wiele razy, próbowałam się nauczyć, że jestem w szpitalu. Kiedy znów straciłam poczucie świadomości, a potem wracałam do siebie, zadawałam sobie pytanie: „Co się dzieje?” – i odpowiadałam: „Jestem w szpitalu”, „Ale jakim, po co?”...

Musiałam oglądać dziwne obrazy na ścianach, nieznanne okna i straszne niebo. Widziałam rzeczywistość, ale nie miałam świadomości tego, co widzę.

Wzięłam ze sobą pamiętniki, które znalazłam w naszej piwnicy w czasie generalnych porządków. Nie wiem jeszcze, kto jest ich autorką. Ostatnia dekada XX wieku.

Czytanie zaczynam od opisu zdarzenia z lata 1989 roku. „Wybieramy się z A., moim ukochanym, w podróż zagraniczną do Jugosławii. Dla nas, w Polsce to ciągle bardzo duża atrakcja. Co prawda, kraj, do którego jedziemy, to też kraj socjalistyczny, ale pełen zabytków, przyjemnej pogody, no i inny. Umówiliśmy się na lotnisku w Dubrowniku. A. przyjedzie samochodem – przypadkowo ma w tym czasie pracę dość blisko, a przy okazji będziemy mogli zwiedzać okolice własnym transportem. Już nie mogę się doczekać, dawno się nie widzieliśmy. Przyleciałam samolotem zgodnie z planem. Podróż dobra, lubię latać i nie boję się takich podniebnych wojaży. Piękne widoki, pogoda letnia, błękitne niebo i białe chmury. Wsiadłam i zaczęłam się rozglą-

dać. A. nie było. Poszłam więc po bagaż, który szybko znalazłam, usiadłam przy drzwiach i czekałam. Niestety, po dwóch godzinach w sali przylotów zrobiło się prawie pusto. Chodzili jacyś strażnicy, a z pasażerów byłam tylko ja. Wreszcie, po kolejnej godzinie zdecydowałam się wyjść do miasta. Podeszłam do taksówek, które czekały przed wyjściem z hali lotniska, i wsiadłam do pierwszej z nich. Taksówkarz był zachwycony, gdy poprosiłam go o zawiezenie do jakiegoś hotelu. Zaproponował znane mu miejsce. Jak się potem okazało, był to jego własny hostel czy pensjonat, czy jeszcze coś innego. Zaprowadził mnie do mieszkania, w którym miałam się zatrzymać. Cały czas był zachwycony, zadowolony. Nie pamiętam, w jakim języku rozmawialiśmy, chyba na migi, bo nie po polsku ani po angielsku. Zdenerwowałam się już na sam widok tego »hotelu«, który okazał się bardzo prywatny. Pan powiedział, że wróci wieczorem, a wychodząc, zamknął drzwi na klucz”.

Odkładam na razie ten pamiętnik, bo nowa pani w łóżku obok mnie opowiada mi swoją historię. Źle się czuje, czeka na operację. Uspokajam ją, mówię, jacy dobrzy są tu lekarze, pielęgniarki też (i panie sprzątające – myślę sobie). Nagle za oknem, całkiem blisko pojawia się coś dziwnego. Najpierw hałas, a potem obraz: helikopter. Wygląda to tak, jakby zamierzał wylądować w naszym oknie, ale nie – niedaleko jest specjalne mini-ładowisko. Pewnie helikopter szpitalny. Nie wiedziałam, że ten szpital ma taką niezwykłą część. Bliska mi osoba pracuje w LPR.

Jest tam bardzo ceniona. Patrzymy więc z moją szpitalną „wspólniczką” na to, co dzieje się za oknem. Ona przestaje płakać, a gdy robi się ciszej, rozmawiamy dalej. Przerwywają nam lekarze, którzy robią obchód. Jeden z nich rozmawia ze mną. Nazywa mnie „gwiazdą” – to miłe, a na zakończenie mówi: „I życzę, by dożyła pani sekcji”. Jestem przerażona – pytam, czy dobrze usłyszałam. Oczywiście, źle – miałam dożyć „setki”.

Jeszcze tylko noc i początek następnego dnia. Rano, jeszcze przed obchodem, czytam ciąg dalszy pamiętnika. Jak to się skończyło? Aha, właściciel „hotelu” zamknął ją na klucz i wyszedł. A co ona zrobiła?

„Poczekalam, aż odjedzie, i wygrzebałam się przez okno. Mieszkanie było na parterze. Kiedy wyskoczyłam na ulicę, zatrzymałam pierwszy nadjeżdżający samochód. O dziwo, kierowca zatrzymał się i pozwolił mi wsiąść. Był nim młody, spokojny mężczyzna. Wytłumaczyłam mu sytuację i poprosiłam, by zawiózł mnie do jakiegoś normalnego hotelu, co też uczynił. Na miejscu pomógł mi dogadać się z panią z recepcji. Zostawiłam swoje rzeczy w pokoju (normalnym, hotelowym pokoju!) i poszliśmy wspólnie do kawiarni. Miejsce, w którym znajdowała się ta kawiarnia, wyglądało jak z obrazów Moneta. I pora roku, i godzina – wieczorna – zrobiło się ciemno. W środku było pełno ludzi, lokal tętnił życiem. Musiałam się trochę uspokoić. Chłopak był dla mnie bardzo miły, pomocny, okazywał mi szacunek. Najpierw obdzwonił szpitale, szukając A., ale go tam nie było.



Teraz myślę, dlaczego nie dzwoniłiśmy też po hotelach, ale może wystarczyłoby sprawdzić tylko ten »mój«?

»Pan Pomocny« zaczął mi opowiadać o swoich problemach – takie zaufanie do mnie? W jakim języku mówiliśmy? Po angielsku. Aha, przedstawiłam mu się jako Holenderka. Nie wiem dlaczego. Może chciałam zrobić lepsze wrażenie? A Polka to nie dość dobre? A Polska jakie robi wrażenie? Wcześniej byłam w Berlinie – w NRD, więc wiem jakie, pewnie dlatego tak »zabłysłam«. To była gra, czułam się dobrze. Chłopak się zwierzał, było miło, jednak w końcu rozstaliśmy się i wróciłam, cała szczęśliwa, do swojego hotelu, wreszcie spać”.

Na każdym obchodzie wyglądam ponoć lepiej, to znaczy moje zoperowane ciało. Czuję się dobrze. Rozmawiam ze znajomymi przez telefon, miałam nawet dwóch gości. Przyjaciółka przyniosła mi gazetę i warzywa. Wszystko zjadłam (poza gazetą oczywiście). Szykuję się do powrotu do domu. Mam być tam sama przez kilka dni. To dobrze, potrzebuję spokoju, bez szpitalnych atrakcji. Ciekawe, jak przyjmie mnie kot. Ponoć się obraża, gdy pani go zostawia. Ale to nielogiczne, przecież to pies ma „panią”, a kot „służącą”.

Jeszcze końcówka pamiętnika. Z nowego hotelu dziewczyna pojechała na lotnisko spotkać swego Adama.

„Na drugi dzień założyłam ciemne okulary, inne spodnie, kurtkę, szal i tak dalej – wszystko po to, żeby nie rozpoznał mnie pan taksówkarz, który może czatował na mnie pod halą lotniska.

Chwilę przed przylotem samolotu z Polski byłam już w środku hali. Dostrzegłam A., który zdziwił się, że ja już jestem, choć samolotu jeszcze nie ma. Poprosiłam, abyśmy szybko wyszli, obiecując, że wszystko mu za chwilę wytłumaczę. Tak zrobiliśmy. Pojechaliśmy do »naszego« hotelu. Czyli »mojego«, bo on zatrzymał się w innym, całkiem niedaleko. Potem przeniósł się do »mojego«. Opowiedziałam mu o wszystkim. Śmialiśmy się głośno... teraz ja też się śmiałam.

Pojechaliśmy zwiedzać Dubrownik. Piękne miejsce. Zapamiętam most słynny z brawurowych skoków młodych ludzi. I oczywiście inne miejsca, ale o tym napiszę później”.

Mojego pobytu w szpitalu też koniec. To znaczy tego związanego z operacją, bo będę tu jeszcze przyjeżdżać na konsultacje. Żegnam się, dziękuję, pakuję i wychodzę. Przyjechał po mnie brat. Jestem mu bardzo wdzięczna. Świetnie prowadzi ten swój ukochany samochód. Prawdziwy mężczyzna. Kiedyś też uwielbiałam mieć i prowadzić samochody, ale to już zupełnie inna historia.





# SPIS TREŚCI

Daniel Odija   <b>WSTĘP DO ANTOLOGII</b>	<b>7</b>
Agnieszka Cińcio-Pętlicka   <b>PIES NIE WEŻMIE</b>	<b>11</b>
Anna Kaczor   <b>DWIE ŚLIWKI I JABŁKO</b>	<b>20</b>
Dominik Kasicki   <b>ROCZNICA</b>	<b>31</b>
Karolina Kotkowska   <b>PODRÓŻ</b>	<b>39</b>
Ewelina Lewandowska-Żabińska   <b>TO JEST MÓJ DOM</b>	<b>49</b>
Aleksandra Majdzińska   <b>BETLEJEM</b>	<b>66</b>
Bartosz Michałowski   <b>ARENA</b>	<b>73</b>
Maciej Ochenkowski   <b>CELA</b>	<b>86</b>
Igor Pieńkowski   <b>KROCZĄCA PRZEZ ŚWIATY</b>	<b>97</b>
Jessika Skuza   <b>SERPENTYNA</b>	<b>111</b>
Magdalena Zarzycka   <b>CZTERY RAZY MATKA</b>	<b>120</b>
Zofia Żebrowska   <b>DWA ŚWIATY</b>	<b>130</b>



ISBN 978-83-89285-23-2